

MIESIĘCZNIK LITERACKI

# AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 3 (354) Rok XXVIII MARZEC 2025 cena 8 zł (w tym 8%VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



*Julia Jaskuta Płonący dłońmi*

## Jakub Żabkiewicz

### Opuszczenie

---

o czym myślą inni z pewnością pełną  
szukają jak ja i błędzą po grzędzawiskach  
straszą ich nieproszone sny i robią im  
na złość całkiem podobnie jest rano  
szczęśliwi którzy nie wstają wieczorem  
nie śpiąc jeszcze zanim zasną  
za pochodnią włócząc się w ciemności

noktowizory nie dają jasności  
przemieszczają się z rdzenia i płatów  
łagodnie bądź straszliwie szukają jak  
wszyscy dobrej myśli i ja też szukam  
cudzej nawałnicy tego krzyku  
który zawsze stwierdza  
jesteśmy sami

## Dorota Szawdzianiec

\*\*\*

---

Waniliowy księżyc tapla się  
w atramencie nieba o poranku  
i tylko irytuje latarnie  
które mgła przyćmiewa  
rozlana z góry na dół  
jak mleko zero procent.

Pierwsze psy wyszły na spacer  
i płyną w niej jak łodzie podwodne  
od drzewa do drzewa znaczonego moczem  
ciągnąc za sobą na smyczy zaspanych  
właścicieli jak ślepców.

A zakapturzeni bezdomni  
ziewają głośno zagłuszając ciszę  
i ciągną swoje domy na trzeszczących wózkach  
wędrując spowitymi chodnikami  
jak błędni rycerze  
w poszukiwaniu złomu oręża  
za który kupią kilka godzin zapomnienia.

I ja nie śpię  
stoję w drzwiach gotowa do zanurzenia  
w tą mleczną breję mroźnego świtu  
biorę głęboki oddech  
i znikam we mgle nowego dnia.

## Katarzyna Ślusarek

### Marshmallows

---

Podsłakuje miękko na igłach ognia  
rumieni się i wydyma policzki  
węgle piekielne czerwone zady diabłów  
widłowe groty nie dosięgną nieba  
biała chmura pełza  
z wykałaczką pełną pianki  
dieta powszednia  
przydział szpitalny  
w niebiosach nędza  
anorektyczne anioły suszą gnaty

piknik w kręgu pentagramu  
pełna chmura pływa w kałuży

cukier uzależnia



Julia Jaskuła Upadek

## Joanna Wicherkiewicz

\*\*\*

---

szary poranek  
miasto jeszcze śpi  
wchodzimy w szarą ulicę  
gasimy kilka gwiazd

córka mówi  
skurczyłaś się  
mamo  
więc się zaczęło  
zanikanie

## Dominika Liszkiewicz

### A whiter shade of pale

---

wczoraj  
przyłożyłam  
swoją bladą twarz  
do białej poduszki

a potem  
śniło mi się  
że byłam  
jedną z szesnastu westalek  
tańczących fandango  
i  
- muszę przyznać -  
było to nawet przyjemne

więc  
dziś znowu będę  
jedną z szesnastu

jedną z szesnastu

## Adam Michalak

### Przebiśniegi

---

23 lutego rejestruję  
dzień dłuższy o godzinę

w bieli przebiśniegów  
księżyc czarną drogą  
prześwietlony w karminie nieba  
brodził z żurawiami  
do rzeki wezbranej osadami ptactwa  
dotarliśmy w błękitcie rozlanych treli  
wysyłając śnieżyczki  
w eter

## Anna Maria Mickiewicz

### Głębina

---

Oczy widzących wschodzącym dniem  
oszołomione przestrzenia

Docierają do źródeł  
aby spoglądać  
w mroczność jezior  
w szumiące włosy brzoź  
w strzeliste igły sosen

W ciszy zapytują Sokratesa  
o sens istnienia bezmiaru

## Mat nie

I wciąż się zjawiał nie w porę, w nieodpowiednim miejscu i czasie, jak demon; a to w cieniu gabinetu pod białą kreską proszku w obrysie szklanego stołu, a to na płomiennych pozamałżeńskich schadzach w nadmorskich pensjonatach z widokiem, także przy euforycznym przeliczaniu brudnych pieniędzy, perwersyjnych igraszkach lub wstydliwych obdukcjach starzenia. Za każ dym razem był w innej roli; sąsiada, włamywacza, akwizytora, listonosza, kelnera, inkasenta, bądź gorliwego dozorca. Przyzwyczał się do ciągłych zmian i historycznej irytacji anonimowych współaktorów, a przecież to tylko krótki epizod, efemeryczna rola jakich w życiu wiele! Miał już na stałe przyklejony litościwy wyraz twarzy, to pozwalało nieco wyła godzić niezręczną sytuację i pierwsze historyczne zaskoczenie, jakby nagła mgła na drodze albo konfrontacja ze zwisającym, egzotycznym wężem w łazience.

Zarabiał całkiem nieźle, pracy miał naprawdę dużo, ale nigdy nie wiedział kto i po co go wynajął, znał tylko dzień, miesiąc, godzinę, miejsce i nowe role, w które wcielał się z tłem automatycznie – taki przymusowy awatar. Pukał zawsze trzy razy jak stygnące echo w jaskinię i niczym w mitycznym sezamie drzwi stawały otworem, albo wpadał wprost znie-nacka oknem ze schodów przeciwpożarowych lub wentylacyjnym szybem. Kiedyś wściekle zaczepony odpowiedział:

- No cóż zawód jak zawód, sprawiam ludziom zawód, to niełatwe spotkanie, ale brnie w oczy szczanie, bo nie będziemy udawać dżentelmenów, nawet nie mówimy dobrze po angielsku, najwyżej trochę się rozumie, lecz z lekkim opóźnieniem i w błędach. Świadczę tylko profesjonalne usługi zawodowego świadka, mimo woli, mimochodem, na przekór.

W ogóle, to ty też jesteś ukrytym łajdakiem, a ja mat owym lustrem, którego nie możesz nie widzieć, lekceważyć, dotykasz się w nim przecież i ono pogłębia się w Tobie, i jesteś po obu stronach symetrycznych przestrzeni. Każdy gest widzisz już podwójny, odbity, zatacza koło w czasie dokonanym i wraca, i ćwiczysz rozumienie w kuszenie z ja-wy, przez wy stawy syrenich topielic, a przecież pokój w sercu cały czas pusty i czynsz zapłacony na zawsze.

Muszę się przyznać, że ja tym odrabiam ratalnie zadawnioną winę, bo w młodości sporo namieszałem i mówiłem w zaułkach bardzo źle o ludziach, chyba to kosy i gawrony podsłuchały, a w gówarstwie trochę się nad nimi znęcałem, więc teraz mnie mają w ptasim szachu, czarnych gońców i pionów, i czasem czekam wietrznym zmierzchem, żeby w rozbły-sku Feniksa nastąpił w końcu mat.

Marek S.Podborski,  
lirkaakantu@gmail.com

## Wiesław Marcysiak

\*\*\*

Zdeformowany cień  
Zniekształcone istnienie  
Kasztan znaleziony nad rzeką  
już dawno rozsechł się  
przepadł

Płaskie kamienie  
mkną nad dwuwymiarowością  
wody  
powielają koncentryczne kręgi  
aż zatoną i umrą pośród  
kości muszli badyli mułu  
opływowych kształtów  
w trzecim wymiarze  
gdzie jeszcze koty w worku

Toną czarnym wgłębieniem  
Jak ślepe oczy posagów  
Jak oczy starców  
błagające o nadzieję  
Leżą na dnie i patrzają

## Katarzyna Ślusarek

### Peron

przetracony przez cień  
wróbla lęk  
odskoczył w śniegu biel  
horyzont peronu  
po szynach bieg  
zrudziałych linii  
zgrzyt  
lśniący stal  
równoległych dróg  
w podkładach  
przesiadł się czas

## Grzegorz Borowiec

### Ptaki przedwiośnia

„Wody! Wody! Wody!”  
krzyczy stara kobieta dwie sale od mojej  
średnio co jakies piętnaście minut  
na pewno ma już swoje na karku  
a mimo to słyszę przy zamkniętych  
drzwiach  
ile ma siły w płucach

Czytam piszę odpoczywam  
chwilowo nie rozrywa mnie ból  
nie denerwują mnie wrzaski  
bo doskonale ją rozumiem

Gaszę światło ściagam żaluzje  
i oglądam piękną brudną ciemność  
rozkoszuję się sekundami  
przed powrotem na brzask

### Paweł Wacek

#### Entropia 3

Przykleiłem się do jezdni  
Czekam aż auta w końcu odjadą  
Czekam

Zawisłem nad przepaścią  
Czekam aż ptaki w końcu odlecą  
Czekam

### Paweł Wacek

#### To była iskra

Jak kamień w serce  
Serce z kamienia

## Szymon Florczyk

### krzemienie

mam szklane oczy  
długie palce  
krótkie nogi

sterylną skórę  
i miękkie plecy  
choć jak stropy kręgi

przenośną pamięć  
która wypływa w morze  
i więźnie w sieciach

unosząc się tuż nad powierzchnią  
przenikam w płaskie zwierciadła  
a wydłużają mi się ramiona  
nie mogą objąć

chcę strzaskać taflę pięściakiem

## Wioleta Szarwas

### Cienie

Od kiedy nie przychodzisz  
nad rzekę, boję się zasnąć.

Resztki światła odchodzą od brzegów  
mroźnego sierpa.

Cienie rozrastają się.

Gdy tylko na chwilę zamykam oczy,  
stada głodnych ptaków  
zataczają nade mną kręgi.

A strugi niecierpliwych szeptów  
wmawiają, że zapominasz.

## Dziennik czasów poplątanych (13)

### 14 stycznia

Obserwuję, i to w bezpośrednim kontakcie, wyjście z dotychczasowego ukrycia ukraińskich mężczyzn w Polsce. Szukają pracy, no i oczywiście wsparcia, porady. Chcą odnowić prawa jazdy. Gdy pytam, to większość odpowiada, że przyjechali przed wojną... Wierzyć? W każdym razie coraz większy procent imigrantów ukraińskich, szczególnie wśród młodzieży, wiąże swoją przyszłość z Polską, czy ogólnie z Zachodem. Wśród osób w wieku 13-15 lat aż 26 procent chciałoby na stałe osiąść na obczyźnie, a kolejne 40% chciałoby się tam uczyć, potem pracować i ewentualnie za jakiś czas wrócić na Ukrainę.

200.000 żołnierzy zdezerterowało z frontu i mimo groźących im kar, prowadzonych śledztw oraz abolicji wraz z wypłatą należnych sum pieniędzy dla tych, którzy zdezerterowali po raz pierwszy, nie chcą na front powrócić.

Dyktujące, w swoim oczywiście interesie, kontynuację wojny Stany Zjednoczone naciskają na obniżenie wieku mobilizacyjnego z obecnych 25 do 18 lat, a równocześnie wraz ze swoimi sojusznikami nie kwapią się do szkolenia nowych ukraińskich brygad. Polska przeszkoliła w swoich bazach połowę tych brygad. W takiej sytuacji powoływanie nowych roczników pod

broń byłoby szafowaniem demograficzną przyszłością narodu, na co – koniunkturalnie skądinąd – nie zgadza się prezydent W. Zełenski, działający od początku wojny pod dyktando Waszyngtonu. Jego legendarna już odzywka, że „chce amunicji, a nie podwózki”, gdy Amerykanie proponowali mu ewakuację wraz z rodziną, zdaje się być z góry ukartowaną propagandową operacją obydwu stron, choć być może na początku wojny, co do której zachodni prognostycy wieszczili szybką klęskę Kijowa, taki scenariusz wydawał się oczywistym. Nieudolność rosyjskiej armii zderzona z bohaterstwem obrońców, dość szybko zmieniła sytuację i W. Zełenski w ramach współpracy z Waszyngtonem, który żądał natychmiast efektów swojej „inwestycji”, wymuszał w 2023 roku letnią ofensywę, która zakończyła się krwawo i właśnie ona rozpoczęła falę dezercji, które w istocie wymuszają na prezydencie stwierdzenie w wywiadzie dla „Sky News”, że „Kijów może rozważyć porozumienie pokojowe, które będzie zakładało pogodzenie się z utratą 20 procent terytorium”, a nawet – jak sugerują analitycy – nieobjęcie Ukrainy zachodnim systemem bezpieczeństwa. Innymi słowy – porażka. Tylko po co tyle ofiar i wyzwolonego bestialstwa po obydwu stronach, które przecież tak szybko nie wygaśnie.

### 15 stycznia

Na łamach „Akantu” toczy się, i ma zdrowe rumieńce, dyskusja pn. *Granice poezji o podtytule Co zrobić z masowym zjawiskiem pisania wierszy? Niektórzy respondenci używają pojęcia inflacja wierszy, wierszowania*. Nie jest to trafne porównanie, bowiem podczas inflacji pieniądź rzeczywiście traci na wartości, jako że nie ma on sam wartości immanentnej, bo jego wartość zależy od czynników zewnętrznych, a wiersz ma jednak taką wartość w sobie. Inna rzecz, że blask ich, o ile bywa, jako że nie wszystkie wiersze są poezją, nie jest przyćmiony przez inne blaski... W masie nawet perły nie są perłami.

### 16 stycznia

Kolejna „prośba o opublikowanie” na łamach „Akantu” wierszy z nadesłanego tomu. Książki leżą na półce, raczej nie w księgarniach, lub w paczkach pod biurkiem, a czasopismo jak ptak leci szeroko i wysoko, często bardzo daleko. Odpowiadam, że wierszy raz opublikowanych powtórnie nie publikujemy. Wielkie zdziwienie. „Przecież to takie dobre wiersze...”. Wiersze jak wiersze, ale samopoczucie...

### 17 stycznia

Opakowanie często ładniejsze niż wnętrze. Współczuję szybko starzejącym się kobietom. Kto wie, czy nie lepiej byłoby, gdyby nie doprowadzały do takiego kontrastu.

### 18 stycznia

Coraz smutniej się robi na moim osiedlu. Gdy codziennie około dwudziestego wieczorem jadę rowerem dla zdrowia, to coraz mniej widzę dekoracji świątecznych. Marzę, aby te nieliczne pozostawione dotrwały do 2 lutego, tego symbolicznego zakończenia w Polsce okresu świątecznego. Bo światła zachodzącego słońca jeszcze nie będzie.

### 19 stycznia

Papież Franciszek uważa, że „internet unifikuje, standaryzuje i umasawia ludzkie wspólnoty, a pod iluzją ułatwionej komunikacji międzyludzkiej prowadzi do osamotnienia jednostki; pozbawia ją też prawa do realnej prywatności, a także kontroluje na setki łatwiejszych i trudniejszych do dostrzeżenia sposobów. W takim świecie kultura spotkania zanika na rzecz kultury izolacji, do głosu dochodzi hiperindywidualizm. Wynikiem tego jest społeczeństwo pogrążone w cichej beznadziei, skoncentrowane na swoich wąsko pojmowanych, materialnych interesach”.

Zgadzam się z tą oceną, tylko wezwania papieża, aby walczyć z owymi patologiami traktuję jako naiwny idealizm. Te masowe procesy muszą osiągnąć swoje ekstremum, aby się zawalić. Taka jest natura społecznych relacji. Jestem również przekonany, że w indywidualnych przypadkach człowiek mimo tych wszystkich degradujących zagrożeń da sobie radę i nie utraci człowieczeństwa.

### 20 stycznia

Na dworcu kolejowym owiały mnie ze wszystkich stron dziewczyny ze szkoły średniej, a za nimi nauczycielka z zaciętą miną,



## „TĘCZOWY ZAKĄTEK”

NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE  
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.  
UL. FILTROWA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY

## SPRZEDAŻ MIESZKAŃ

☎ 604239030 ☎ 571338880

sim.bydgoszcz.pl

o pokolenie starsza. Nie wiadomo skąd się zjawily, nagle znalazłem się w środku tego roju, prawdopodobnie wybierały się na jakąś wycieczkę. Stroje jak to stroje, wyszukane nieco, także te nad wyraz swobodne, ale twarze! Różne typy makijażu, miny – stałe bądź szybkozmienne, dominował wyraz znużenia, a niekiedy i nawet zblazowania. Rzuciły jednak okiem na boki i nawet na mnie, więc jak najszybciej wycofałem się z tego kręgu.

Chłopcy w tym wieku są bardziej oczywiście – albo twarze zakapiorów, albo uciekających od życia, świadomych naiwniaków.

### 21 stycznia

Kaznodzieja ewangeliczny wyraził ubolewanie, że liturgia katolicka jest schematyczna i powtarzalna, nie porywa. Broniąc tej liturgii i jej wyeksponowanych przez mego rozmówcę cech powiedziałem, że dzięki nim prowadzący nabożeństwo, nawet jeśli jest wyjątkowo efektywnie odziany, nie ma szans wyeksponować ponad miarę swojej osoby, jest sługą zarówno Boga jak i tradycji, bo musi robić to, co należy, a bardzo często kaznodzieje ewangeliczni w swej swobodzie nazbyt ekspozycją siebie, wymyślając różne pomysły na zwrócenie uwagi i ekspozycję swojej osoby. Ich ego przeraża osobę Boga, którą mają za zadanie przedstawiać. Takie uatrakcyjnianie religijnej prezentacji ma miejsce w Kościele rzymskim tylko podczas kazania lub pogadanki dla dzieci. W pozostałym czasie trzeba być *pod*, a nie *nad*.

### 22 stycznia

„Mój siostrzeniec poszukuje pracy. Jego dotychczasowa firma wyniosła się za granicę. Siostrzeniec ma dwa fakultety: filozofię i prawo” – pisze do mnie znajomy z prośbą o pomoc. Podziwiam młodzieńca, że zdecydował się na studiowanie filozofii. Komu ona jest dzisiaj potrzebna? Firmy tłuką towary i zbierają pieniądze: prawnie i bezprawnie. Kiedyś jako inżynier słyszałem łomot pras mechanicznych tłukących jakieś blaszane podkładki. Cała hala się trzęsła. Wydaje mi się, że trzęsie się dziś cały nasz glob.

### 23 stycznia

Albo wszystko zamarłe, albo rozdygotane w bezmyślnym ruchu. Czekam na przyrodę wiosenną, która zaprowadzi porządek i wywoła konkretne konieczności. Czekam na działkę, na której będę musiał kopać, grabić, siać, odchwasczać, choć tego ostatniego wyjątkowo nie lubię.

### 24 stycznia

Jazda samochodem jakby z automatu. Nawet nie wiem jak i kiedy znalazłem się w miejscu docelowym. Bywają takie dni...

### 25 stycznia

Piotr Stareńczak, poeta, przyszedł po jakąś moją książkę. Czasami tak się zdarza, także to, że Rafał Roszczyniała prosi mnie w tej chwili o zbiór wierszy *Na krawędzi*, bo... pani Teresa Bermańska jeszcze go nie czytała... Na pewno nie czytała, ale czy chce przeczytać? Rafał Roszczyniała jest roznosicielem gazet i książek zapamiętałym.

### 26 stycznia

Nie mogąc znieść mnogości nazbyt sentymentalnych wierszy nadsyłanych do redakcji „Akantu” przez różne panie w różnym wieku i z różnych stron świata, sporządziłem taki wiersz:

#### TEŃSKNOTA

*w moim opustoszałym domu  
nawet przedmioty, a nie tylko kot i pies, mają  
swoje imiona  
pierwszy, bo najbliższy, sweter to TROSKA od  
ciebie  
spódnica to POŻĄDANIE  
trudno sprząc z niej twoje ślepe zapatrzenie  
kubek to CIEPŁO, ciepło twoich dłoni  
zegarek to CHWILA  
ile tych chwil było, będzie  
a nóż na stole  
a nóż na stole...  
w moim domu, w którym nigdy nie byłeś*

### 27 stycznia

Obserwuję takiego w ponad siłę wieku lokalnego polityka, który od kadencji, dzięki wierności i upartej obecności tudzież bardzo inteligentnym pochlebstwom, lokuje się na pierwszych miejscach list wyborczych i bazując na polskim safandulstwie, czyli niechęci do zmian, zdobywa średnio płatne, ale za to pewne, w ogrzewanych pomieszczeniach i bez odpowiedzialności, miejsca w prowincjonalnych, bez szerszych perspektyw, gremiach samorządowych, na dodatek od prawie dwudziestolecia zepchniętych przez biurokrację na margines. Ów polityk, z łaski prowincji i polskiego safandulstwa, sympatycznie poklepuje nielicznych ludzi czynu po plecach, rzeczowo i zawsze pryncypialnie krytykuje przeciwników politycznych swojej partii, bo nie swoich, gdyż na osobiste zaangażowanie się w bezpośrednią walkę go nie stać. Naśladuje stanowczością i werbalną ideowością swego pryncypała, o stopień w organach przedstawicielskich wyżej, ale nie może zająć miejsca owego pryncypała i to nie tylko z uwagi na zabetonowanie sceny politycznej. Po

prostu przedmiotowi mojej obserwacji brak skrzętej pracowitości podpierającej szczytne i emocjonalnie angażujące hasła. Dziś nie wystarczy krzyżeć, trzeba jeszcze mrówczo pracować w polityczno-biurokratycznej sieci oblepiającej i krępującej społeczną tkankę.

### 28 stycznia

Jakieś baby nie chciały mnie wpuścić do sklepu, w którym Piotr Szymański wypatrzył jakiś fotel na potrzeby teatru, który wreszcie tworzy. Popatrzyłem na szyld – czterdzieści minut do zamknięcia.

– Chcę tylko zobaczyć fotel – wyjaśniłem, bo to ja miałem sfinansować ten zakup.

– Porządkowanie towaru – warknęła jedna z nich, a ja spasowałem, bo z kobietami zazwyczaj nie dyskutuję.

Piotr Szymański mnie wyśmiał, że jestem nieporadny, ale przecież on sam dobrze wie, co znaczy kobiece *nie*, *bo nie*.

### 29 stycznia

– Moja mama jest w wieku szczególnej wrażliwości – powiedziała o swojej ponad 80-letniej matce, też wiekowa córka.

Ujęło mnie to delikatne określenie, bo rzeczywiście ludzie starzy, o ile nie niedosłyszą i nie niedowidzą, to są wrażliwi na każde słowo, gest, światło, zmianę temperatury.

### 30 stycznia

Imperatorskie gesty Elona Muska, jednego z najbogatszych ludzi na świecie, a na dodatek dysponującego światową siecią informatyczną, skłaniają do refleksji, że pieniądze i środki informacji to instrumenty rządzenia. Cóż tam wartości! Cóż tam idee, moralność... Nie można jednak sądzić, że jeden czy drugi E. Musk będzie rządzić światem. Takich rządców z pełnymi kieszeniami jest mnóstwo, na każdym szczeblu.

### 31 stycznia

Zapłakany deszczem dzień kończy pierwszy miesiąc nowego roku. Nie jest to smutne, bo przecież woda to życie. ❖

## Wiesław Hawelko

### Złoty róg

w swoich snach - nie śmiem marzyć  
jedynie błędę niczym niemy ślepiec z opaską na oczach

w świecie wilczej jagody i błekotu  
w bezmiarze podświadomości  
w bezkresie kosmosu  
zawieszony u powały  
niczym obłok gwiazdowego pyłu  
śledzę zagubione swoiste nic unurzane w błotnistej brei

z czerepem pełnym trocin  
w butach z których wystaje słoma  
w krainie jawy sennej kładącej cień  
targany pytaniami – wątpliwościami  
targany głodem wiedzy  
targany spazmem żądz i pragnień

staram się wyjść obronną ręką pomiędzy wydrażonych ludzi

kołyszących się na wietrze niczym słomiany chochoł  
ogarniętych tanecznym Widem staram się  
zachowując Złoty Róg

## Nocne przewidzenie

---

tacy sami  
różni się ilością i kształtem znamion  
drogi którymi robaki  
drażą korytarze w mózgach  
w przeciwnych albo podobnych kierunkach

marcowe popołudnie  
zdradliwe ciepło  
ojciec w samej bieliźnie  
po rodzinnym wypadzie  
na obwoźną wystawę węży  
dziś trzeźwy

umrze dopiero za dwadzieścia kilka lat  
syn dorośnie  
dojrzeją guzy wewnątrz ciała  
zgęstnieją płyny ustrojowe

po drodze młodzieńcze myśli samobójcze  
niegroźne  
ale kto wie  
gdyby stróż nie wygonił z klatki schodowej  
na jedenastym piętrze

pepowina  
pompa ssąca  
podłączona do kilku ciał  
żywych albo martwych

Mateuszkę Zbyszku Oskarku  
kiedy dotykam w nocy  
prostujecie palce w skurczu  
przy świetle księżycy i szczekaniu psów  
ssanie tłoczenie  
dojrzwianie treści

Kazimierz Jerzy Tadeusz  
trupiobladymi twarzami  
patrzają na was przez okna  
dałbym głowę  
widziałem jednego z nich  
na środku podwórka nad ranem  
sypał się z nieba  
węglowy miał powietrza

## Dzień w którym byłeś szczęśliwy

---

mam prawa autorskie  
masz masz  
odpowiedziała matka ładując pralkę

kubek z logo  
długopis  
chyba nic więcej  
piłeś kawę latami

„Kłamstwa kryształowego pryzmatu”  
tymi słowami wygrałeś konkurs  
na tytuł elektronicznego utworu  
w Polskim Radiu

miałem może dwanaście lat  
poruszenie  
dzwoniłeś do redakcji  
w sprawie wysyłki nic nieznaczących  
gadżetów  
jakbyś odbierał wielkie trofeum

zagubiony adres w rozgłośni  
opóźniona dostawa  
płynące z kolumn przez kilka sekund  
trzy wyrazy

## Julia Albo Sara

---

rękopisy  
wyróżnienia w konkursach  
egzemplarze autorskie  
w trzyszufladowej komodzie

rękopisy niegramatyczne  
konkursy lokalne  
egzemplarze autorskie pism  
renomowanych  
i pism które ostatnią deską ratunku

nocna obserwacja skrzynki mailowej  
bo może o trzeciej nad ranem  
szanowny panie  
przeczytałem z zainteresowaniem

bolesny brak nazwiska  
na liście nominowanych

kilkudniowy zachwyt  
po otrzymaniu wiadomości  
z planowaną datą publikacji

przedwczesne odejście ojca  
długa choroba matki  
nadwrażliwość jelita grubego  
która choć uciążliwa  
nie powoduje śmierci

śmierć nie potrzebuje  
hipochondrycznego badania  
dwunastnicy  
nałogowo zażywanych leków  
na ból głowy i zęba

miał ulubiony fotel  
w którym siedział w ostatni dzień  
zanim złał się ze ścianą

piętnastoletnia  
kiedy zakończyła znajomość  
z chłopcem na rzecz innego chłopca  
odkrywa zawartość komody

pradziadek pisał wiersze  
zdjęcie przyciska paragony  
żeby nie związało

## Dzień w którym poszliśmy na pizzę

---

choroby siedziały na łóżku pod oknem  
owróżdzona zjawia  
ciało w kształcie człowieka  
ledwo widoczny otwór gębowy  
ożywiła się na nasz widok  
bełkot i krzyk

obok wiedźma o kamiennej skórze  
wielki garb  
patrzyła nieruchomo

stary profesor  
czytał wykaz leków  
szukał najtańszych

## Michał Kaczmarek

### Katastrofa klimatyczna

---

*kregosłupy ze skrzywieniami  
dawno zdławione łęki jak ołowiane kulki  
przetaczane z nierównym chrzęstem  
opowieści wyżęte i bez blasku*

Anna Fidecka

mój ojciec przeszedł na drugą stronę  
zgodnie z gorzkimi wierszami  
pałił siedząc przy oknie  
nie rzucił nałogu do końca  
czujniki dymu w hotelu  
nerwy przed rodzinnym wyjazdem  
gdzie na papierosa

gitara akustyczna  
zespół  
wódka  
koncerty w knajpach

nazwisko znalezione po latach  
w internecie  
nie laureat  
uczestnik festiwalu

na kilka miesięcy przed śmiercią  
wieczorne wydanie Wiadomości  
pożary w Grecji i na Hawajach  
odżywający wulkan na Islandii  
a on  
rozżarzony pet  
może gorący palnik  
prawie nic

to nic  
nosiło sweter i szelki  
miało duży brzuch  
w ostrych fazach śmierdziało lumpem  
w łagodnych okresach trzeźwości  
dało się kontrolować  
nie zostawiało pieniędzy w barze

majowy dzień  
przynosi obiad z budy z pierogami  
cytuje śmieszny fragment  
z wczorajszego słuchowiska

poeta  
muzyk bez dokonań  
kiedy usłyszy głos w telewizji  
powie kurwa mój kumpel

w oddali pociąg  
świst  
rozrzedzony przez gołe jesienne gałęzie  
mrok

wrzdziejące zapalenia jelita grubego  
diagnostyka pod kątem  
stwardniającego zapalenia dróg żółciowych

po wyjściu  
gdy wsiadaliśmy do samochodu  
mamrotanie z gabinetu

Dawid Nawrocki

## Brak złudzeń

„– Ciekawe, co by zostało, jakby ten cały świat odrzucił z fałszu i obłudę, na jakim stoimy, nie?”

– Pewnie niewiele”.

Ten krótki dialog ze *Skoczka Marcina Mielcarka* idealnie obrazuje brak złudzeń bohaterów co do otaczającego ich świata. *Skoczek* to nie jest książka dla osób szukających *happy endu*. Nie ma w niej zbyt dużo radości, szczęścia czy patrzenia przez „różowe okulary”, tak modne w dzisiejszej popkulturze. Jest za to pełna cynizmu, gorzkości i smutku. A jednak to nie jest książka, którą rzuca się w ką po przeczytaniu kilku stron. Co więc jest w niej takiego, że nie można się od niej oderwać?

Główny bohater to 19-letni Hubert Przybylski, wychowanek domu dziecka, który w pierwszej, poważnej próbie usamodzielnienia zdecydował się na przeprowadzkę do innego miasta oraz rozpoczęcie nowego życia. Jednym z filarów nowego startu mają być studia dziennikarskie, które jednak nastolatek szybko porzuca. Przez całą książkę czytelnik jest natomiast świadkiem zmagania Huberta z innym filarem życia każdego z nas, czyli pracą. Mówiąc dokładniej wieloma pracami, gdyż, jak szybko się możemy przekonać, tytuł powieści nie jest przypadkowy. Oczywiście poza obowiązkami w życiu, młodego Przybylskiego czekają również przyjemności – w jego przypadku związane z alkoholem i relacjami damsko-męskimi, ale wszystko po kolei.

Czytając powieść Marcina Mielcarka nie da się uciec od myśli, że ktoś już, w ten sam oderwany od złudzeń, nieco cyniczny sposób pisał. Nawet jeśli autor nie ma zamiaru być nową wersją Charlesa Bukowskiego, to nie da się ukryć, że słynny amerykański pisarz w przeszłości musiał wyrzucić spory wpływ na styl Mielcarka. Sposób, w jaki autor operuje słowem, jest prosty, ale zarazem angażujący. Nie ma tu poetyckich opisów otaczającego świata,

tylko bezpośrednio i klarownie przekazanie czytelnikowi tego, na czym zależy autorowi. Mielcarkowi wie jak pisać, tego nie można mu odmówić. Forma, jaką operuje, jest przystępna, atrakcyjna dla czytelnika. Co do treści, to już trochę inna sprawa, ale wątpliwe, aby autor celował w główną nagrodę konkursu popularności.

Ze *Skoczka* wylewa się mało przychylny obraz gatunku ludzkiego. Główny bohater powieści nie lubi ludzi, ma o nich złe zdanie i sam się stawia na marginesie społeczeństwa. Momentami można pomyśleć, że nastoletni Hubert jest jak Rodion Raskolnikow, ale Mielcark szybko wyprowadza nas z błędu. Jego bohater nie uważa się za nadczłowieka. W karaluchu, którego znajduje we własnym mieszkaniu, widzi bardziej pożyteczną istotę niż on sam i cały gatunek ludzki. Główny bohater sam dla siebie nie widzi światła w tunelu. Życie go ciężko doświadczyło. Żyje bez złudzeń, nie licząc, że za rogiem czeka lepszy los. Nie, dla niego „wszyscy mamy złe w głowach, że żyjemy”. Traumatyczne dzieciństwo odcisnęło na nim piętno. Nie potrafi on sprostać normom funkcjonującym w społeczeństwie. I to na wielu płaszczyznach: zawodowej, uczuciowej itd. Główny bohater przez cały czas próbuje znaleźć swoje miejsce w życiu, jego kolejne próby są jednak nieudane. *Skoczek* nie prowadzi czytelnika z punktu A do B. Jest za to zbiorem wycinków z życia młodego mężczyzny, który podobnie jak wielu z nas próbuje się odnaleźć w bezdusznym świecie.

W pierwszym akapicie stwierdziłem, że to nie jest książka, którą się odrzuca po przeczytaniu kilku pierwszych stron. Oczywiście ktoś może tak podejść do tej powieści. Jeśli jesteście czytelnikami, którzy szukają lektury pozytywnej, w której wszyscy są piękni, bogaci i zadowoleni z życia, to *Skoczek* nie jest dla Was. Nawet nie próbujcie. Jeśli jednak szukacie książki prawdziwej, bez filtra, która pokaże Wam te gorsze zakamarki ludzkiej duszy, to zdecydowanie mogę Wam polecić tę powieść. ❖

## Cykl: Jest taki wiersz...

Swego czasu, zachęceni przez Eugeniusza Koźmińskiego, zaczęliśmy prowadzić cykl pt. *Jest taki wiersz*. Miał on na celu zachęcenie twórców i odbiorców do podzielenia się swoim zachwytem, ale też oburzeniem, z powodu wiersza innego poety. Nie może bowiem być, aby poeta czytał tylko siebie i czytał cicho, wchłaniając, bo a nuż coś wzbogaci moją poetykę, a nie dzieląc się swoimi myślami i odczuciami.

O takie podzielenie się więc apelujemy. Niech to będą szczere, spontaniczne wypowiedzi, a nie szkolne rozbiory wiersza.

Dokładna, refleksyjna lektura jednego utworu zazwyczaj więcej daje, niż lękanie, często z krztuszeniem się, całego tomiku. Krztuszeniem się? Tak. Poezja jest bowiem sztuką tak osobistą, że w wielu przypadkach trudną do przyswojenia przez inny organizm.

W każdym razie czekamy.

Redakcja

Stefan Pastuszewski

## Jest taki wiersz

Łucja Dudzińska

*Kobiety. Model*

*Silne kobiety ogrzewają własnym ciałem i uśmiechem.*

*Te o powabnych kształtach oszukują męskich szowinistów*

*swoją naturalnością. Wystawiają cielesność na próbę ognia.*

*Inne nauczają o feminizmie, który dał im poczucie wolności.*

*Chcą się kochać z wielkimi fallusami. Ale również tęsknią*

*za przytuleniem, karmieniem piersią. Są gotowe na zawodowy*

*sukces. Wymagają od siebie i innych. Pokazują (do kurwy*

*nędzy) drugą stronę – stronę damskiej niezależności, gdy...*

*ten, on od lat jedyny (chuj), wymienia je na powabniejszy model.*

Wiersz Łucji Dudzińskiej *Kobiety. Model* nie odbiega od jej dotychczasowej poetyki, choć wyjątkowo wybiega w sferę potocznych, spontanicznych reakcji werbalnych (wulgaryzmy). Reakcje te są także, a jakże, udziałem dam, choć elegancko ujmują je w nawias, dowodząc, że *to tylko na chwilę*, że one na co dzień się od tego dystansują.

Treść przytoczonego wiersza ekspozuje prawdę o naturze kobiecości – tego żywiołu dwubiegunowego, zarówno w sensie psychologicznym jak i socjologicznym. Wiersz *Kobiety. Model* jest modelowy dla współczesnego świata. Wzrusza nazwanie swojego mężczyzny „od lat jedynym”, choć jest on w rzeczywistości zwykłym ch... Kobieta walczy więc o swoją wolność, ale równocześnie tęskni za przytuleniem.

Poetka panuje nad sobą i swoimi emocjami, tekstem i jego poszczególnymi słowami, wreszcie nad odbiorcą, któremu wręcza skończony i dobrze opakowany dar. Dar myśli, efektów obserwacji, dar marzeń o tym, jak powinno być. Wiersz. Swoją wiersz.

Takie wiersze filozoficzno-wyjaśniające świat są typowe dla Łucji Dudzińskiej, poetki surfującej obecnie na fali wznoszącej. I aktywności twórczej, i aktywności animatorskiej. Jej poezja jest sobiewłasna. Aforystyczna, do czego poetka przyznaje się, pisząc w swoich notach biograficznych, że jest *aforystką*. Przekazuje prawdy trudne do podważenia, myśli bardzo celne...

Drugą specyfiką tej poezji jest to, że jest ona bardzo obrazowa, choć obrazy te są ukryte, a wywołuje je odpowiednio podprowadzona przez autorkę wyobraźnia czytelnika. ❖



FIRMA RODZINNA

PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA

NR 1 W POLSCE

NAJLEPSZA JAKOŚĆ

PRZYSTĘPNA CENA

DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.  
ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77  
e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

## Ambrozja nad ambrozjami (2)

ciąg dalszy z poprzedniego numeru

\* \* \*

Śmierć matki nie wpłynęła w żaden sposób na spożycie trunków w rodzinie. Ojciec przestał pić dopiero po śmierci starszego syna. Cudowne opamiętanie. Zmiana o sto osiemdziesiąt stopni. Od tamtego czasu, co niedziela do kościołka na rozklekotanym rowerze przemierzał pięć kilometrów w jedną stronę. W Bogu odnajdywał siłę. Nie można już było go spotkać „pod sklepikiem”, no chyba że akurat miał wolne i chłopaków nawracał na przeżycie na dobrą stronę mocy. Znalazł pracę. Zdobył zaufanie.

– I co to za porządny człowiek, patrz pan! Kto by to pomyślał jeszcze rok temu?

– W głowie się nie mieści!

– Nie do pomyslenia. Nie! Do! Wiary! – mieszkańcy wsi i okolicy nie mogli się między sobą nadziwić.

Nie tylko oni, ponieważ dawni towarzysze broni „spodsklepikowi” też nie przywykli do jego nowego pomysłu na życie i image’u. Chodził ubrany w garnitur i koszulę, wprawdzie byle jakie, stare, zniszczone, z postrzępionymi rękawami (nie miał przecież pieniędzy na zakup nowych rzeczy), ale zawsze czyste.

\* \* \*

A z tym wypadkiem najstarszego brata to było tak. Facet był już grubo po pięćdziesiątce, gdy zmarł śmiercią nagłą i niespodziewaną. Może dlatego, że nigdy nie modlił się o uchronienie od takiego kresu. Ba, zapewne nawet nie znał takiej

modlitwy. Nie znał, nie znał – to jest więcej niż pewne. Natomiast znał skutki nadmiernego spożywania alkoholu. Borykał się z tą wiedzą każdego dnia, ale nie wysnuwał właściwych wniosków na przyszłość. Codziennie miał ten sam utarty sposób spędzania czasu. Każdego dnia – tak samo. Pierwsza myśl to uśmierzyć kaca, druga to zdobyć kasę na dalsze picie. Sen. Proste i nieskomplikowane.

Jednego z tych wielu dni, takich samych od wielu lat, kręcących się wokół tego samego, czyli picia, wracał ze „sklepiku” w innej wsi, pijany, jak zawsze, a nawet może i bardziej niż zwykle (w tym czasie sklepów było „od groma”; niemalże w każdej wsi nowi kapitaliści pootwierali nowe biznesy).

Najpierw był tam „na dniówce” przy pielieniu buraków, a potem, po wypłacie, uctował. Oczywiście nie zdołał pracować bez piwa. Piwo było wpisane w czarnorynkowy charakter zatrudnienia.

– Szeeefie! Mogę nie jeść, ale piwo i paliwo musi być – powtarzał tę maksymę każdemu, kto go zatrudniał.

Piwa domagał się nawet wówczas, gdy wykonywał tak zwane „prace na wysokości”, czyli smarował smołą pokryte papą dachy.

– Idź w cholere! Nie dam ci żadnego piwa! Człowieku! Spadniesz z dachu i się zabijesz! Smrodu narobisz! Będą mnie po sądach ciągać! Mowy nie ma!

– Jak nie wypiję, to się bede boł wleźć. Najpierw trza coś łknąć – odpowiadał w takich sytuacjach, budząc salwę śmiechu innych czarnorynkowych robotników i samego pseudoszeffa. No i dostawał piwo.

Przymawiał się na różne sposoby, a to że „głodnemu robota nie będzie dobrze szła” (mając na myśli głód alkoholowy), a to „upał taki, że trza gardło czymś przepłukać” i nie chodziło tu bynajmniej o wodę. Ambrozja jest tylko jedna. Każdy to wie.

W każdym razie wracał po szycie w polu, zakończonej libacją podsklepikową, do tego, co nazywał domem. Libacja, należy tu zaznaczyć, wielce udaną i dosyć długą, choć tutaj trudno byłoby mu określić, jak długą – nawet gdyby żył – ponieważ w jej trakcie urwał mu się film i to nie jeden raz. Ocuć! go wiosenny deszcz, który na całego rozpadał się tego późnego wieczoru, a właściwie wczesnej nocy. Szedł zmęczony, przepity, przemoczony. Od rowu do rowu. Gdy był dzieckiem przemierzał tę drogę do szkoły i z powrotem, ale tylko do pewnego wieku. Potem już zatrzymywał się przed sklepikiem, który był kilkadziesiąt metrów przed szkołą i to tam, a nie w placówce szkolnej, zdobywał wiedzę o trunkach i innych nałogach. Wiedzę, którą później wykorzystywał przez całe życie. A o rozmnażaniu pierwotniaków, pantofelków i ameb nie wiedział nic i tego nie potrzebował. Patrząc na to od tej strony, wybór sklepiku nad szkołę, był słuszny. Kto by przejmował się edukacją chłopaka w popegeerowskiej szarżyźnie

wsi lat osiemdziesiątych. Obecnie asfaltowa droga w jego czasach szkolnych wyglądała romantycznie. Przez środek biegł pas wybrukowany nierównymi kamieniami polnymi, przez lata ubijanymi końskimi kopytami i kołami wozów (początkowo drewnianymi, potem z oponami), a w późniejszym okresie kołami traktorów, ciągnących przyczepy, załadowane burakami cukrowymi, wożonymi do cukrowni. W drodze powrotnej przyczepy pełne były wyłoków buraczanych, z których usypywano, panoszące się przed domami przyzmy, obok kopców z kiszoną z liści też buraczanych. Z tego powodu całe wsie zagłębia cukrowego dusiły się smrodem zepsutych buraków.

Po obu stronach bruku ciągnęły się pobocza z ujeżdżonej ziemi, zamieniającej się podczas deszczy w pełne kałuź, grząskie błoto, z którego koła wozów lepiły głębokie koleiny. Podczas upałów pobocze tworzyła beżowa, grząska, piaszczysta ziemia. Do szkoły i ze szkoły brodził w tym piachu i pyle, albo w kałużach. Niektórzy jeździli na rowerach, co zasadniczo niczego nie zmieniało, ponieważ turkotali po kocich łbach, a jak jechał wóz, albo ciągnik, rowerzyści musieli zjechać na pobocze, co wiązało się z ciężkim pedałowaniem przez piach lub błocko. Nic dziwnego, że edukację szybko tutaj kończono, a on nie był żadnym wyjątkiem.

Niczym rzeka pełna zakoli, droga pełna zakrętów wiła się płaską, jak stół, równiną, po obu stronach obsadzona olbrzymimi klonami, dającymi latem cień i chwilę ochłody, jesienią, wyglądającymi zachwycająco kolorowo, pamiętającymi jeszcze czasy dziedzica, który zamieszkiwał budynek – dwór, w którym obecnie mieściła się szkoła. W tych okolicach nad Bzurą musiało być sielsko-anielsko. Malowniczo. Romantycznie. Na tyle pięknie, że niezliczenie wiele lat wcześniej, tę lokalizację na swoją siedzibę wybrał sobie diabeł Boruta. Na tyle pięknie, że wiele lat później, już za czasów unijnych, ustanowiono tutaj Obszar Chronionego Krajobrazu Doliny Bzury, zabraniając jednocześnie koszenia traw w okresie lęgowym ptactwa, które rozwrzeszczane przylatywało tu teraz tłumnie, zachęczone szumem sitowia i bogactwem żab.

Nieodrodny syn swojego ojca szedł więc po ciężkim i jak zawsze obfitującym w płyny dniu po drodze, którą przemierzał od dziecka, aczkolwiek początkowo w innym celu i teraz już asfaltowej, gładkiej jak równina przez którą biegła, nadal pełnej zakrętów, z przytulonymi złowrogo do pobocza pniami starodrzewu, nie ustępującemu kierowcom na milimetr i sięjącemu, wśród tych bardziej rozsądnych i mających wyobraźnię, postrach.

Prowadził rower, choć to raczej rower prowadził jego, stanowiąc swego rodzaju podporę, pomagającą pijakowi zachować równowagę, choć ten i tak kołysał się jak chorągiewka na wietrze. Wreszcie alkoholik wkurwił się i odepchnął rower, myśląc że to przez dwukołowca źle mu się idzie. A może rower miał już tego dosyć i po prostu sam odjechał. Tak czy inaczej, teraz pijak nie szedł wcale sprawniej. Marsz wyglądał jak taniec niezdary. Trzy kroki do przodu, dwa w bok, coś do tyłu.

### Zakład Optyczny



**AUTORYZOWANA  
PRACOWNIA OPTYCZNA  
ZAPRASZA**

**Pn. - pt. 10:00 - 18:00**

**Sob. 10:00 - 13:00**

**D.H. HERMES  
ul. Wojska Polskiego 23  
52 361 96 46**

**GABINET OKULISTYCZNY  
Pn., śr., czw., pt. od 16:00**

**ul. Niedźwiedzia 7  
52 322 47 47**

**GABINET OKULISTYCZNY  
Pn., wt., od 16:00; pt. od 14:30**



Pałętał się od pobocza do pobocza, a drzewa odrzucały go od siebie do kolejnego, grały nim niczym w piłkę. Jeden z klonów, już nieco nadpróchniały, w którego korze grzyb torował sobie na własne potrzeby ryzomorfy, odepchnął alkoholiczka bezlitośnie mocno, ze złością powoli umierającego drzewa, toczono go przez korniki, zaatakowanego przez próchnicę i *mycelium*.

– Co, kurwa, jest?! Co jest?! Kuurr-rwa... – alkoholik zaczął coś bełkotać, wymachując bełkoczącymi rękoma, podjął walkę z niewidzialnym wrogiem. Wreszcie upadł na asfalt. Na szczęście przewrócił się na lewą stronę ciała, ostatkiem przytomności łapiąc się za prawą kieszeń brudnego waciaka, w której była schowana butelka z resztkami życiodajnego etanolu. Westchnął z uczuciem ulgi. Odkorkował zębami butelkę. Otworzył się tunel z ciemnozielonego szkła. Na brzegu otworu siedział starzec, majdający koślawymi nogami. W oddali zaczęło migotać jakieś światło.

– Koniec, mości panie – powiedział ochryple miniaturowy starzec.

– Co ty za jeden? Kuurr-rwa – beknął głośno, aż mu się ułalo. Czy może rzygnął najwyczejniej w świecie? Zaśmierdziło jeszcze bardziej, niż do tej pory.

– To ja. Nie poznajesz mnie? – starzec nachylił się bliżej do przyglądających się mu pijacko zamglonych oczu, ale odsunął się, czym prędzej, zniesmaczony. Roztaczający się odór był nie do wytrzymania dla diabelnie czulego powonienia.

– Wszystko to moje – zatoczył szeroki krąg ręką zakończoną długimi szponami. – Chodź! Oprowadzę cię.

Oślepiające światło było coraz bliżej i bliżej. Huk. Uczucie gorąca, rozpluwające się po całym ciele. Koniec. Pijaczynie wypadła z rąk butelka, z której w ostatniej chwili wyskoczył jego towarzyszy, koziołkując wyjątkowo sprawnie, jak na starca, na dodatek z takim długim ogonem, w który łatwo się przecież zapląta albo o niego potknąć. Koniec poprzedniego, początek nowego.

Jako pierwszy przejeżdżał tamtędy mleczarz. Opatulił się szczelniej waciakiem, ponieważ poranek był bardzo rześki. Zaczynał tak wcześnie pracę, że nawet latem, o tej godzinie, powietrze było przesywające zimne. Ciszę świtu niszczył jedynie terkot traktora i metalowy stukot baniek, gdy podczas ładowania na przyczepę nieostrożnie puknął jedną o drugą. Wczesną wiosną towarzyszył mu jeszcze śpiew oszalałych z miłości ptaków, który nieśmiało przedzierał się przez odgłosy silnika ciągnika, będącego wytworem radzieckiej myśli technicznej i stąd nazywanym przez właściciela pieszczotliwie „Iwanem”.

Mleczarz już z daleka zobaczył, że coś się wydarzyło. Zsiadł z traktora. Podobno widok był okropny. Mleczarz – sam nie wiedział dlaczego – puknął nogą w leżący na drodze rower. Może, żeby dać upust emocjom, jakby stwierdził jakiś uczonego psycholog? On sam nie był ani psychologiem, ani tym bardziej uczonego. Edukację zakończył na szkole podstawowej, ale przynajmniej ukończył wszystkie klasy i to bez – jak to się tutaj mówiło prześmiewczo

– utrwalania materiału, czyli powtarzania klasy. Tak czy inaczej koło zakreśliło się teraz leniwie, zgrzytając przy tym niemiłosiernie. Trochę dalej, na środku drogi, leżało zmasakrowane ciało. Dookoła brudnoczerwona plama, udekorowana zielonymi okruciami szkła, które z osadzonymi kroplami rosy, czy pary, mieniły się teraz w promieniach wschodzącego słońca.

– Chuj wie, czy to była jucha czy wino – mleczarz opowiadał potem chłopom pod sklepikiem, stojąc z piwem w ręku. Musiał się pokrzepić, po takim poranku.

Zostało tylko ciało, a właściwie to, co z niego zostało. Duszą zajął się potwór, który przy okazji dziabnął kasek księżycy. Kolejnej nocy potwór delektował się już tylko Luną, bo w tej okolicy chwilowo żadnej duszy na przekąskę nie było. Na szczęście Srebrny Glob odradzał się ciągle, więc potwór nigdy nie chodził głodny i nie musiał martwić się o strawę. Happy potwór. Prawie happy, ponieważ zawsze jest jakieś ale. Od ciągłego konsumowania Srebrnego Globu nabawił się argyrii, choroby trawiącej obecnie biedotę pracującą w kopalniach tego metalu, a wieki wcześniej, rodziny królewskie (cóż, paradoks historii), spożywające wystawne posiłki na srebrnych zastawach, skąd wiązki metalu były absorbowane przez wiatę, wymęczone odcięciem napływu świeżych genów, arystokratyczne organizmy i przenikały do krwi, podbijając jeszcze jej błękitność oraz delikatnie koloryzując skórę na taki sam odcień. Potwór też stawał się coraz bardziej szarawobłękitny, stapiając się z każdym tysiącleciem coraz bardziej z niebem. Wśród kasandrycznych przepowiedni stoi zapis, że jak już nie będzie się dało dojrzeć rysów potwora na tle nieba, to będzie to oznaczało nieuchronny koniec świata. Niezjadany Księżyc urośnie do niebotycznych rozmiarów, wchłonnie Ziemię i huragany na Jowiszu, gwiazdy i wszystko wokół. Cały Wszechświat. Zostanie tylko metalicznie oślepiające światło, które nie będzie stwarzało zagrożenia, gdyż nie będzie już wtedy oczu, którym mogłoby zaszkodzić. I tak od Słowa do Światła...

W rowie, do góry kołami, leżała jasnobrazowa ciężarówka, marki Robur, z przybrudzoną, rdzawożółtą plandeką. Samochód, cały pokiereszowany, niemalże okręcił się wokół drzewa, które straciło wprawdzie sporo kory, ale poważniejszych uszkodzeń nie miało. Trwało wiernie na swoim posterunku, niewzruszone szasłymi wydarzeniami. Zroszone szkło z rozbitych szyb, puszczało zajączki wśród młodziutko-zielonej trawy. Taki, jedyne w swoim rodzaju odcień zieleni, pojawia się jedynie na początku wiosny i szybko się starzeje, przechodząc w ciemnozielony, albo – co gorsza – brudnozielony.

Kilka metrów od drogi, w polu, leżało nienaturalnie wygięte, już sztywne, ciało kierowcy. Mleczarz go znał, ponieważ pochodzili z tej samej wioski, tylko tamten mieszkiał za rozdrożem, przy krzyżu. W miejscu, w którym się zabił i nie tylko siebie, też pojawił się krzyż, nie wiadomo któremu z nich poświęcony. Może obydwu? Krzyż był zrobiony z jasnych, sosnowych desek, które z czasem zszarzały, tak że stapiały się z kolorem drzewa, do którego zostały przybite (i to mimo niemego protestu rośliny, zapewne

dłatego nieusłyszanego i nieuwzględnionego). Potem deski szerniały, jeszcze potem spróchniały, gwóźdź zardzewiał, obłuzował się, a jeszcze potem, potem, potem krzyż się rozpadł. Jedno jego ramię gniło w rowie, a drugie zostało zaorane na pobliskim polu. Nim to nastąpiło, od czasu do czasu, matka kierowcy przyjeżdżała tu na rowerze pomodlić się żarliwie, zapalić zniczy i udać się do domu, płacząc całą drogę powrotną. Przestała przyjeżdżać do swego jedynaka, dopiero gdy już się tak zestarzała, że nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Znicze stały tam coraz brudniejsze, aż dokonały żywota pod kołami samochodu, prowadzonego przez kolejnego nierozważnego kierowcę.

Skończyła czytać. Była czerwona, nie tylko na twarzy, ale na szyi i dekolcie, w każdym razie tej widocznej jego części.

– Musiałam to tak napisać... w formie opowiadania...

– Uhm... – przytaknęła psycholożka, myśląc równocześnie: „Dziewczyno, nieźle porębana jesteś”.

– ...bo gdybym miała ująć tylko same fakty... no... inaczej... to było ponad moje siły...

– Co Pani czuła po śmierci brata?

– Nic. Jechaliśmy tamtą drogą do księdza, jak organizowałam pogrzeb. Była tylko plama posypana piaskiem. Nie czułam niczego... Plama, nic więcej...

– A po pogrzebie?

– Satisfakcję – odpowiedziała bez chwili wahania. – Potem pomyślałam, że to przecież brat, że tak nie powinnam... ale wcale go nie żałowałam. Pewnie Pani myśli o mnie, że jestem okropna...

– Nie jestem tu po to, żeby oceniać, tylko pomagać.

– Nie jestem okropna – miała łamiący się głos, prawie łkała. Prawa część twarzy, jak zawsze, zasłonięta płachtą włosów. Ręce ze splecionymi palcami kurczowo zacisnięte, aż do białości skóry na kościach. – Tyle wycierpiałymy i ja, i mama... Oni... Oni... nam zniszczyli... życie... Zniszczyli nas...

Po wyjściu pacjentki zamyślona psycholożka mechanicznie wzięła porzucone kartki z opowiadaniem, zszyla i schowała do szuflady. Mogłaby te wszystkie szufladowe historie uporządkować i wydać dzieło o wielu opasłych tomach. Wielologię. Wielologię o boskich pomyłkach w kreowaniu ludzkich losów.

Psycholożka nie piła, Nie umniejszała to jej wiedzy o posiadaniu w rodzinie pijaka i wiążących się z tym konsekwencjach dla jego bliskich. Miała własne bogate doświadczenie. U niej było jednak inaczej. Pełna kultura. Żadne tam wina z gwinta pod sklepem. Tylko wysokiej jakości whisky, w szklaneczce do tego przeznaczonej. Tak, u niej była wysoka kultura – także w picciu. Potem tatuś spodnie w kant starannie odwieszał do szafy, marynarkę na wieszaku, jeszcze ręką wygładzał przy kołnierzu, żeby się nie odkształcił. I nigdy ich nie bił pięścią. Nigdy. W końcu był chirurgiem wielce szanowanym i nie mógł sobie pozwolić na uraz ręki. Do bicia służył rzemieenny pas, wiszący na futrynie od drzwi pokoju, zmyślnie przekrojony na dwie części do połowy, żeby kara była bardziej dotkliwa i tym samym skuteczniejsza. Pas nazywał „dyscypliną”. Dyscyplina musi

## Ambrozja...

dokończenie ze str. 9

być. Dzieci muszą wiedzieć co to dyscyplina, żeby wyjść na ludzi. Tak je wspaniale wytresował, że na sam dźwięk przekręcanego kluczyka w zamku od barku peerelowskiej meblościanki, były z siostrą sparaliżowane ze strachu. Wiedziały, że zaraz nadejdzie czas sądu dziennego.

– To dla waszego dobra. Jeszcze mi kiedyś podziękujecie.

– Tak kochany tatusiu – odpowiadały zgodnym chórkami, pochlipując żałością, ale nie za głośno, żeby tatusia nie zdenerwować.

W barku wszystkie whisky pochodziły od wdzięcznych pacjentów.

A mąż psycholożki był najlepszym uczniem jej ojca. Pod każdym względem. Tylko nie chodził w garniturach, ale ubrania też odkładał równiutko, idealnie złożone. Opracował innowacyjne techniki bicia, pozwalające na zachowanie pełnej sprawności części ciała do tego używanej. Najczęściej psycholożka dostawała w twarz otwartą dłoń, „z liścia”. Było też ciągnięcie za włosy, no i wyzwicka. Jej mąż ma bardzo bogate słownictwo. Bardzo bogate. Potrafi kłać z wielką finezją. W końcu doktorat zobowiązuje. Żaden budowlaniec by się nie powstydział. Żaden. A może nawet jeszcze by się czegoś nauczył. Zawsze należy uczyć się od najlepszych.

\*\*\*

– Wie pani, robiliśmy, co w naszej mocy. Już nie tylko moi chłopcy, ale i ja sam... Staraliśmy się, jak mogliśmy... ale w tej sytuacji... sama pani rozumie... no niestety... proszę może nie otwierać trumny... – płatał się grabarz. No tak, nie grabarz, tylko przedsiębiorca. Właściciel i zarazem prezes firmy pogrzebowej, o równie szumnej, co pospolitej w tej branży, nazwie – „Charon Sp. z o.o.” Swoją drogą też miał chuch etanolowy. Twarz udekorowana czerwienią, podszytą bordo i fioletem, to jedyny w swoim rodzaju, nie do pomylenia znak, piętnujący lubiących zanadto alkohol. A może ona jest przewrażliwiona?

Sama niepijąca nawet łyka, nawet piwa, nawet wina, nawet szampana podczas

wznoszenia toastu. Nawet syropu na kaszel nie używała, ponieważ – jak wiadomo – jego bazę stanowił alkohol. Nawet, nawet, nawet, nawet...

Jedyna niepijąca. Na dodatek żadnego z tego pożytku nie było, bo w tamtych czasach nie miała prawa jazdy, więc i tak, w czasie imprez, ktoś oprócz niej, musiał być trzeźwy, żeby poodwozić wszystkich do domów.

Tak czy inaczej nie dość, że sama nie piła, to jeszcze innych wprawiała w kompleksy. To jej wielce mówiące spojrzenie na każdy toast... Na szczęście traciła się wcześniej z imprez, by nie psuć nastroju.

Piętnujące spojrzenie używane było nie tylko na imprezach, ale zawsze i wszędzie, przy każdej okazji.

\*\*\*

Przez tydzień pod sklepikiem nie gadało się o niczym innym, tylko o tym wypadku. Można uznać, że była to tygodniowa stypa, jaką urządzili zmarłemu koledzy, którzy w ten sposób, bądź co bądź, mieli nowy powód do wypitki. Tylko jeden stały bywalec przestał tu spędzać życie – ojciec potraconego. To wtedy nastąpił przełom. Od razu zgłosił się do poradni i został skierowany na odwyk, w tym samym dniu, w którym miał miejsce wypadek. Nie był obecny nawet na pogrzebie pierworodnego.

Sam chciał, żeby go zamknęli, ponieważ wiedział, że bez pomocy sobie nie poradzi, że jak będzie na głodzie, to może nie wytrzymać. Nawet dużo później, gdy już lekarze uznali, że jest czysty i silny, i może opuścić odwykownię, błagał żeby go zatrzymali jeszcze, jeszcze trochę, jeszcze trochę, ponieważ sobie nie ufał. Widząc jego determinację lekarz prowadzący terapię zgodził się. A potem, już po wszystkim, jeszcze zatrudnił go do prowadzenia – jak to uczenie określił – prelekcji. Cel szczytny – pomoc innym, takim jak on, albo chodzenie po szkołach, żeby młodych uchronić przed drapieżnymi szponami nałogu. I chodził. Chodził. Dlaczego miałby nie chodzić? Nie mógł się teraz wstydzić, to wtedy powinien, w tamtych czasach, o których opowiadał.

W zakładzie zamkniętym łatwo nie było. Szczególnie pierwszy etap, czyli odtruwanie i związane z tym fizyczne dolegliwości wryły mu się w resztki pamięci, zniszczonej piciem, zostawiając trwałe ślady, niczym tatuaż. Przyzwyczajony do stanu ciągłego upojenia organizm nie potrafił przestawić się na nowy tor.

Miał wrażenie, że wszystkie wewnętrzności ma skręcone, zapętlone. Każdy organ z osobna został związany na supeł, a następnie przytroczony do kolejnego narządu, a to wszystko razem zostało dodatkowo związane linami.

Jego ciało nie знаło innych smaków. Gardło kurczowo zaciskało się na ciepłym posiłku. W końcu to prawidłowy odruch na nieznaną. Jego mikrobiota zawsze wesoło tańcząca i będąca w stanie ciągłej, euforycznej zabawy, nie umiająca przyswajając stałych pokarmów i czerpiąca energię jedynie z wysokoprocentowych płynów, odcięta od nich, zaczęła szaleć z rozpaczą. Tak samo, jak każda komórka jego ciała, każdy atom, najmniejsza cząstka. Wszystko dopominało się tego jednego, konkretnego płynu i niczego innego. Były go pięściami, tłukły od środka wrzeszcząc „Dawaj winooooo!!!! Da-

waj!!! Kurwa!”. Jak mógł coś takiego robić własnemu ciału? Jak mógł się tak nad nim znęcać? Już wcześniej był „na odwyku”, gdy został skierowany na tak zwane przymusowe leczenie, ale wtedy trwało to krótko. Trochę tam pobyl, pomęczyl się. Coś mu wszyli. Wyszedł. Kolega sprytnie mu wszwykę kozikiem wyciął i poszli pod sklepik. Na dezynfekcję. Wrócił do kumpli-funfli niczym bohater, dzieląc się nowymi wrażeniami i doświadczeniem. W końcu był w tym gronie najstarszy. Przechwalał się, że sam wie lepiej, co dla niego dobre, bo przecież „doktory” znają go krócej, niż on samego siebie.

Tak było po pierwszej wizycie w zakładzie. W trakcie drugiego swojego tutaj pobytu, tym razem dobrowolnego, oczywiście chciał wyjść na prostą. Wyjść na ludzi. Odwrócić rolę i zapanować nad nałogiem, który dotychczas całkowicie go sobie podporządkował i nim zawładnął.

W ośrodku dowiedział się, że alkoholizm to choroba, która go wyniszczała fizycznie i psychicznie. Tam dowiedział się, że jest po prostu chory, a wraz z nim jego bliscy oraz że choroba, na którą zapadł, wywołuje szereg negatywnych skutków społecznych i alkoholikiem będzie już do końca życia, a to co odbywa się w zakładzie, to tylko wstęp do dalszej walki o trzeźwość. Walki każdego dnia o każdej porze.

Po pobycie w zakładzie zamkniętym, wszwyce mającej go wspomóc, przeprowadził się do ośrodka, gdzie wraz z sobie podobnymi mieszkali jeszcze długo, wzajemnie się wspierając (wiadomo, że w grupie różnej), patrząc na tych, którzy przegrali po raz pierwszy, albo kolejny.

\*\*\*

A jakieś dwa, czy trzy tygodnie po wypadku, znowu wrzało pod sklepikiem.

– Eee... gdzie tam..., bujdej ktoś puścił – stwierdził jeden ze stałych podsklepikowych bywalców, zwracając się do grona jemu podobnych. Na potwierdzenie swojego zdania upił trochę wina i przekazał butelkę sąsiadowi z prawej (jakiś porządek w naturze musi być, więc zawsze pili zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara; tym niemniej nikt nie pamiętał, skąd taka reguła się wzięła, kto ją zainicjował; jednak przechodziła z pokolenia na pokolenie ożeroków).

– No jak Boga kocham, że prawda – zarzekał się przynoszący nowinę.

– Dyc tam prawda...

– A skąd to ona miałaby wiedzieć?

– No ... ale ... brat jej chłopca w milicji robi i widział te papiery.

– Przecie to prokurator, a nie policja.

– Mówta, co chceta! Ja swoje wim!

– A może i tak było, różne rzeczy ludzie gadają...

– Terazki życia chłopu nikt nie zwróci...

Atmosfera była tego dnia w centrum wsi głośnie, dyskusja toczyła się zażarta i była suto zakrapiana. Po jakimś czasie okazało się, że plotki były prawdziwe i kierowca, będący sprawcą wypadku, też nie był trzeźwy. Zgodnie z wynikami badań miał we krwi taką liczbę promili, że nie powinien tego przeżyć, a cóż dopiero prowadzić samochód. Tak, czy inaczej nie przeżył. Było powszechnie wiadomym, że za kołnierza, tak jak i jego ofiara, nie wylewał. Reasumując: pijak zabił pijaka. ❖

cdn.

### „Akant” do bibliotek

Coraz więcej bibliotek, które nie mają prawa do otrzymania egzemplarza obowiązkowego (tylko 15 bibliotek), przesyłanego przez Poczta Polska za darmo, **prosi o „Akant”**.

Nie jesteśmy w stanie sprostać tym potrzebom, bowiem wysyłka jednego egzemplarza kosztuje 7 złotych, co w skali całego roku daje około 100 zł. Prosimy więc Czytelników i Autorów o wpłacenie na cel wysyłki bibliotecznej dowolnej kwoty. Co miesiąc publikować będziemy efekty zbiórki oraz informację, która biblioteka została objęta tą akcją. Wpłacając na ten cel można też wskazać bibliotekę, którą należałoby wzbogacić „Akantem”. Najpierw należy zapytać się o zgodę.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem *Biblioteka*.

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych  
Nr konta Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz  
03124011831111001002291025

**Henryka Ziaja****U bram Trebinki**

Dokąd idziemy?  
 Nie wiem kochanie.  
 Mamusiu ja się boję.  
 Nie bój się skarbie,  
 jestem przy tobie.  
 Zaraz ci coś opowiem...  
 Popatrz jak pięknie jest dookoła  
 O, tam wiewiórka skacze.  
 Słyszysz, gdzieś kotek mamusię woła..  
 Mamo, a ten pan płacze.  
 Mamuś, a powiedz skąd tyle ludzi?  
 Czy wszyscy idą z nami?  
 Tak mój aniołku.  
 Nie bój się wcale.  
 Toż nie jesteście same.  
 Tatuś i wujek idą przed nami  
 i ciocia Salcia z Idą..  
 Ale mamusiu, oni już weszli.  
 Patrz, chyba nas nie widzą.  
 Czemu musimy czekać z obcymi?  
 Po cośmy tutaj przyszedli?  
 Na swą kolejkę moja gwiazdeczko.  
 To miejsce nie dla wszystkich  
 tylko dla ludzi przez los wybranych  
 jak my i nasi bliscy.  
 Mamo, mamusiu, ten pan nas woła.  
 Teraz już nasza kolej.  
 Podaj mi rękę perełko moja.  
 Troszkę się mamo boję.  
 Patrz, to jest droga Wniebowstąpienia,  
 ona prowadzi do Boga.  
 My kiedyś razem ją przebędziemy.  
 Kiedy?  
 Gdy przyjdzie pora.  
 Dlaczego mamuś trzeba się kapać?  
 Bo jest gorąco kochana.  
 Woda nie leci...  
 Mamu...się duszę.  
 Mama została sama.  
 I przyszła pora.  
 Razem odeszły do Pana wszego stworzenia.  
 Dziś tylko kamień po nich pozostał.  
 Bezkształtny. Bez imienia.

**Antonina Sebesta****Wbrew słowom**

motto:

*Tylko w polu biały krzyż*

sł. J. Kondratowicz muz. K. Klenczon  
 (Czerwone Gitary)

Krzyż taki bezradny  
 nawet nie jest biały, brzożowy  
 ale wie kto powinien pod nim spać

wielu drażni  
 tkwi jak drzazga

bo naród  
 wbrew słowom  
 Marii Jasnorzewskiej – Pawlikowskiej  
 z wielkim krwotokiem się nie uporał  
 bandaż skrzepował mu usta  
 a nie otwarte rany

**Krzysztof T.Konecki****Drogowskazy nieodnowione**

Karty rozdane  
 Gra zakręcona  
 Droga pokręcona  
 Zmienia się krajobraz  
 Zmienia się mapa  
 Terytorium to samo

Miałeś gdzieś dotrzeć  
 Nie wiesz już gdzie  
 A jednak dotarłeś

Czy ktoś powie  
 gdzie jesteś

Drogowskazy nieodnowione  
 Szczęście Twoje  
 Bycie Twoje



*Kazimierz Wiśniak, Żołnierz wyklęty*

**Stanisław Chyczyński****Wyklęci jak konfederaci**

Politycy się kłóca: byli źli czy dobrzy?  
 Komu wiernie służyli, więc Sprawie, czy obcym?  
 Historycy nie wiedzą, czym były ich grzechy?

(Kogoś zdążyli zgorszyć, lecz kogoś ucieszyć...)  
 Słabo znacie osnowę, panowie od wiedzy.  
 Wiem, jacy „tamci” byli, bo Dziadek nie przeżył.

Więc rycerzy Maryi okrzyknięto zgrają  
 straceniów i szaleńców, którzy bili Żydów.  
 Po ich leśnej mogile kica sobie zając,  
 a my te duchy chcemy rozliczać ze wstydu.

Więc żołnierze wyklęci też mieli ryngrafy,  
 chowali się po lasach, krwawili po drogach.  
 Za orła Niepodległej ich także szlag trafił,  
 a my dzisiaj pytamy, czy musi być – Droga?!...

**Stefan Michał Żarów****oczywistość zastana**

wokół rozprawiają o instrumentach dochodzenia  
 wokół głosy sprzeciwu i potakiwania  
 wokół wzniecane emocje  
 wokół paragrafy i interpretacje  
 wokół klasycyzność podziału  
 wokół hordy racji  
 wokół rozległe przestrzenie  
 wokół świat grillowany  
 wokół zduszone wybuchy nazw  
 wokół posiłkowanie się cytatami  
 wokół to co nie znaczy nic  
 wokół parametry rozwiązania  
 wokół zwyczajność i codzienna charkota

**Krzysztof Gołębiewski**

\*\*\*

może kiedyś  
 gdy wszystkie rude cyganki  
 będą mówiły prawdę  
 gdy mury przestaną być  
 miejscem dla hasła i ubogiej śmierci  
 gdy już nikt nie powie  
 fuck  
 nie będzie tylu niepotrzebnych  
 wierszy  
 ale właśnie wtedy  
 ktoś wyłączy telewizor  
 i zapali światło

Jacek Kasprzycki

## Los albo Pan Bóg

Los, a może nawet sam Pan Bóg, w co ksiądz Henryk chciał święcie wierzyć, sprzyjał księdzu Henrykowi. Do parafii karnej, w której przebywał, przyjechał po wyjściu z więzienia – zaproszony przez ludzi – a *vox populi* to przecież *vox Dei*, Ważny Prałat, który równocześnie był na celowniku Służby Bezpieczeństwa, bo tak był ważny, że uważał, iż może mówić, co mu ślina na język przyniesie. Swoją ważność budował na poparciu ludzi, a że sytuacja w kraju wciąż się pogarszała, to ludzie coraz głośniej pyszczyli na władzę. Prałat nie chciał się dać zagłuszyć przez tą wznoszącą falę niezadowolonia społecznego, więc „pyszczył” – jak to określała SB – jeszcze głośniej, a głos jego był podwójny, potrójny nawet, bo z ambony, na której nie miał żadnej konkurencji, bo ludzie milczeli. Proboszcz, który wciąż nowy kościół budował i budował, a więc potrzebował różnych zgód różnych urzędów oraz przymykania oka na zakup materiałów budowlanych na czarnym rynku, czyli kradzionych, nie chciał się obok Ważnego Prałata pokazywać, a że wiedział, iż agenci będą tę uroczystą Mszę Świętą *Wielkiego opozycjonisty* zabezpieczać, to do koncelebracji wysłał księdza Henryka, który był w tej parafii za karę i księdza Jarosława, który z kolei sepleniał i był tajnym, przymuszonym oczywiście jak większość księży, współpracownikiem SB. Potem, gdy cały ten cyrk z komunizmem się zakończył i budowano nową Polskę na kościach męczenników, w tym oczywiście Świętobliwego Prałata – męczennika, to jeden z historyków dziejów najnowszych wykrył nieszczęsne przypadłości obydwu koncelebransów i mawiał podczas licznych odczytów, że Wielki Prałat podczas pamiętnej Mszy Świętej stał jako Chrystus między dwoma łotrami, którzy oczywiście nie wiedzieli obok kogo stoją. Była to oczy-

wicie publicystyczna przesada, bo kto jak kto, ale ksiądz Henryk po tym zrzuceniu losu zaczął czytać *Biblię* i indoktrynować się solidarnościowo – niepodległościowo. Oprócz niezbędnych słów nauczył się niezbędnych sądów i ocen, czasami wydawało mu się, że on też do nich, to znaczy do tych bojowników o wolność i niepodległość należy. Los, a może nawet sam Pan Bóg sprawił, że po tej pamiętnej uroczystości, na której Ważny Prałat, osiągnął szczyty krytyki władz, zamknęli go w areszcie pod zarzutem handlu walutami państw obcych, co skądinąd było prawdą, jako że Ważny Prałat musiał z uwagi na swoje skłonności spędzać co roku urlop za granicą. *Więzień sumienia* jak go *vox populi* okrzyknął zmarł w więzieniu na zawał serca, co sprawiło, że stał się *Świątobliwym Prałatem*.

Ksiądz Henryk, opowiadając na lewo i prawo, że za tą Mszę Świętą ze Świętobli-

wym znalazł się na liście proskrypcyjnej tajnych służb, zwrócił się do biskupa o zgodę na wyjazd na misję do Ameryki Łacińskiej.

- A język hiszpański czy chociażby portugalski bracie, znasz? – zapytał biskup, bo musiał się przecież o coś zapytać, ale w sumie był bardzo rad, że wreszcie pozbędzie się kolejnego kapłana ze skłonnościami, przynajmniej na pewien czas.

- Język hiszpański czy chociażby portugalski to języki romańskie oparte o łacinę, a z łaciny miałem w seminarium piątkę. Nauczę się ich w trymiga – odparł rezolutnie ksiądz Henryk, posługując się ludowym rusycyzmem.

- No to krzyż na drogę – biskup wstał zza wielkiego mahoniowego biurka i udzielił pasterskiego błogosławieństwa ze *Wspomożeniem Pana* na początku. Ksiądz Henryk jeszcze nigdy tak radośnie nie opowiadał na biskupie *wozglasy* (znał dobrze starocerkiewnołowiański, bo miał przecież zdolności językowe) i mocno uściśnął miękką jak bułka dłoń swego pasterza, gdy zbliżył swoje gorące usta do biskupiego pierścienia, całując oczywiście palce, bo biskup lubił jak go po palcach łaskotano. Wszyscy o tym wiedzieli. ❖

### Piotr Chruściel

#### Zamazane obrazy Guerniki

Pozbyłem się wszystkiego:

osiemdziesięciokilowego głazu w Mauthausen, przemoczonych butów z odklejoną podeszwą, trepów, ośmiu koszul z przetartym kołnierzykiem, dwóch dziwek – szkoda, dwóch biletów – ważnych, wyrzuciłem coś, co kocham (na pewno) i parę groszy dla bezdomnego.

Snując się w telefonie za Guernicą w Madrycie, robiąc błędy w smsach, na Whatsappie, zapijam to,

co mnie zniszczyło, ścinając włosy, próbuję odmitologizować czerwone spodnie Rupi Kaur, zwracam uwagę koleżance – bez wstydu, lecz paradoksem Simpsona według wytycznych lub poza nimi, najlepiej jak potrafię.

Słucham anegdot. Facecje - stary wyraz, świetny dowcip.

O P., która zdychała –

w żaden sposób nie była to śmierć – na mojej sali, ja – jak zwykle pies i ona – podobno suka, kiedyś.

O W., do którego jestem podobny – gen pustyni, unter uns gesagt i jak mówił Rilke – ein Mensch und eine häßliche Landschaft, immer hat der Mensch die Schuld.

Opowieści o wytartym fotelu. Z dermy.

Tapetach – które wycieram jak fotel, po spełnieniu –

wyberz czarne! Jestem Twoim lustrem – spójrz, zobaczysz dziwkę i mnie na klęczkach.

Snując się w telefonie między Guernicą,

„dziękuję, że jesteś” od przyjaciółki

(ma raka i czas, żeby pisać niestety)

poprzez „obejrzę w domu” –

link do wytartych obrazów

aż do „miał pan szansę” – siedemdziesięcioletek

z tonową płytą, bez szans.

Pozbyłem się wszystkiego.

Mogę zaoferować wyuczoną bezradność

w eksperymencie Seligmana. To, co pod burzą loków, żeby osiągnąć coś, czego nie znam. A jednak istnieje –

w dalekich krajach – w co wierzył Zoright B. Geniusz – Mongoł.

#### Final X edycji konkursu literackiego pt. „Inspiracje Wierzchowskim”

Jury X edycji konkursu literackiego pt. „*Inspiracje Wierzchowskim*” na fraszkę, limeryk lub aforyzm, zorganizowanego przez Redakcję Miesięcznika Literackiego AKANT i Wydawnictwo AUTOR, dokonało oceny nadesłanych utworów.

**I nagrodę** postanowiono przyznać **Andrzejowi Lewko**.

Natomiast pozostałe utwory reprezentowały dość wyrównany poziom i jury konkursu postanowiło przyznać dwie równorzędne nagrody, które otrzymują:

Aleksander Bukowiecki

Jan Gumbisz

Gratulujemy!

Nagrody zostaną przesłane pocztą.

Redakcja Miesięcznika Literackiego AKANT i Wydawnictwo AUTOR

Maksymilian Podstawski

## Integracja Europy Środkowej – wizja i praktyka polityczna

Idea federalizmu środkowoeuropejskiego jest ponadpartyjna, ponadnarodowa i ponadpaństwowa. Środkowoeuropejskich wizjonerów było wielu, niemal w każdym kraju naszego regionu. Wśród nich wybitne miejsce należy się słowackiemu ludowcowi Milanowi Hodźa, między innymi dlatego, że w swej książce, kilka razy wznawianej, zaproponował konstytucję dla naszego regionu. Nakreślił też polityczną definicję Europy Środkowej. (M. Hodźa *Federation in Central Europe*, Jarrolds Publishers Limited, London, 1942). Przekład niemiecki opublikowany został we Wiedniu w 1995 roku, a słowacki w Bratysławie w 1997 roku. Ponadto książka ukazała się ponownie w języku angielskim w roku 2010 w Budapeszcie, wydana przez Central European University Press. Można śmiało powiedzieć, że naszym regionem i jego historią najczęściej zajmowali się polscy uczeni i publicyści: m.in. Oskar Halecki (1891-1973), Jerzy Braun (1901-1975), Piotr Stefan Wandycz (1923-2017), Zbigniew Brzeziński (1928-2017), Piotr Eberhardt (1935-2020). Nie wymieniam tu wszystkich. W kontekście bieżącej polityki trzeba przypomnieć, że profesor Zbigniew Brzeziński zwołał polskich polityków do wzmacniania Grupy Wyszehradzkiej i do współpracy ze Skandynawami.

Warto jednak zauważyć, że żaden z federalistów środkowoeuropejskich nie proponował tak daleko idącej integracji Europy Środkowej jak Milan Hodźa. Co prawda, podczas II wojny światowej, w zamiarach premierów, czechosłowackiego Edwarda Benesza i polskiego Władysława Sikorskiego konfederacja czechosłowacko-polska współpracować miała z planowaną konfederacją grecko-jugosłowiańską, a w przyszłości obie konfederacje miały się połączyć. W tym przypadku jednak nie było jeszcze mowy o wspólnej konstytucji dla naszego regionu. Można przyjąć, że gdyby z podobną koncepcją jak Hodźa wystąpił Polak posadzono by go o próbę dominacji, imperializm i tym podobne rzeczy. Pozwolić sobie na to mógł przedstawiciel małego narodu w środku Europy. Zresztą, właśnie przed próbami dominacji w regionie ostrzegali Polaków Oskar Halecki. Pod tym względem (dominacji) na dużą śmiałość w polskim imieniu pozwolił sobie kilka lata temu Amerykanin George Friedman (1949- ) w książce „Następne sto lat. Prognoza na XXI wiek” oraz w kilku tekstach zamieszczonych w polskiej prasie. Pisał on o prawdopodobnym powstaniu w przyszłości w naszym regionie „bloku polskiego”, oczywiście pod przewodnictwem Polski. (Przy całym szacunku dla tego autora, nie wiem czy ta jego wizja się sprawdzi, choć niektóre prognozy być może tak. Pomylił się natomiast Friedman sądząc, że Skandynawia to region dla Zachodu ze strategicznego punktu widzenia mało ważny. Inaczej uważa obecnie - i słusznie- premier Donald Tusk).

Milan Hodźa urodził się 1 lutego 1878 roku w Turczianskich Suczach na Słowacji, w ewangelickiej rodzinie ziemiańskiej. Jego ojciec był pastorem. Milan Hodźa zmarł 27 czerwca 1944 w Clearwater, USA. Całe swe życie poświęcił idei federalizmu w Europie

Środkowej. (nieco szerzej na ten temat: Maksymilian Podstawski, Milan Hodźa i plany utworzenia Federacji Środkowej Europy, *Polski Przegląd Dyplomatyczny*, t.2, nr 4 (8), 2002).

W przedmowie do swojej książki Hodźa wyraził pogląd, że wydarzenia II wojny światowej uzasadniają przyszłą ścisłą współpracę ośmiu państw znajdujących się między Rosją, Niemcami i Włochami (Polska, Czechosłowacja, Węgry, Austria, Rumunia, Bułgaria, Jugosławia, Grecja. Od Gdańska do Salonik). Taka współpraca zwiększyć miała ich bezpieczeństwo, gdyż jej brak powodował w przeszłości negatywne skutki; stawały się one pionkami w grze wielkich mocarstw. Hodźa pomylił się sądząc, że Związek Radziecki powinien być zainteresowany powstaniem silnego bloku niezależnych państw między ZSRR a Niemcami. Znając przy tym poglądy brytyjskie, początkowo przychylnie powstaniu takiego bloku, sądził, że cała Zachodnia Europa i USA poprą skuteczny sposób powstanie po wojnie zjednoczonej Europy Środkowej jako niezbędnego składnika europejskiego bezpieczeństwa. Hodźa uważał, że jednoczenie Europy Środkowej rozpocząć się powinno od Polski i Czecho-Słowacji (Słowacja jako oddzielny podmiot). Jego zdaniem Europa Środkowa po zjednoczeniu powinna się stać nie tylko całością geograficzną, polityczną i gospodarczą, ale także artystyczną i kulturalną. Wśród najważniejszych ośrodków kulturalnych tego federalnego państwa wymieniał w kolejności miasta: Warszawę, Poznań, Kraków, Wiedeń, Pragę, Budapeszt, Bukareszt, Belgrad, Zagrzeb i Sofię. Hodźa zarysował w swej pracy kształt konstytucji przyszłej Wspólnoty Środkowoeuropejskiej, proponując rozwiązania federacyjne idące o wiele dalej niż te, które przewidywała Konfederacja Czechosłowacko-Polska. Stwierdził, że kształt takiej federacji może być różny; od luźnej współpracy do państwa federalnego. Pierwszy Prezydent Federacji wybierany miał być przez premierów państw członkowskich. A kolejni prezydenci przez Parlament Federalny na okres 1 roku. Do kompetencji Prezydenta należało mianowanie Kanclerza Federalnego i członków rządu. Prezydent jako Naczelny Wódz mianuje dowódców armii. Pozycja Prezydenta powinna być mocna; w przypadku podważenia przez rząd federalny lub większość jednego z parlamentów narodowych uchwał parlamentu narodowego, głos Prezydenta miał być rozstrzygający. Gdy Hodźa kreślił swe plany, cztery środkowoeuropejskie państwa były wcześniej lub aktualnie monarchiami. Gdyby one miały wejść w skład federacji to sprawa głowy federacyjnego państwa musiałaby zostać dodatkowo przedyskutowana. W gestii rządu federalnego znajdować się miały sprawy: celne (unia celna) finansowe (wspólna waluta), handlu międzynarodowego i polityki zagranicznej oraz obrony. Powołane zostałyby federalne ministerstwa ds. łączności i poczty, lotnictwa i żeglugi oraz prawa federalnego. W nowopowstałym państwie federalnym funkcjonować miały związki zawodowe i stowarzyszenia profesjonalne. Każde państwo narodowe wchodzące w skład federacji posiadać miało w rządzie federalnym jednego ministra bez teki. A deputowani do parlamentu środkowoeuropejskiego mianowani przez parlamenty narodowe

większością 2/3 głosów, w proporcji 1 poseł federalny na 1 milion mieszkańców. Propozycje Hodźy dotyczyły całej, ówczesnie definiowanej Europy Środkowej. Z kolei propozycje federacyjne dotyczące polsko-czechosłowackiego państwa nie szły zbyt daleko i ograniczały się tylko do obszaru dwóch państw. (P.S. Wandycz, *Czechoslovak-Polish Confederation and the Great Powers 1940-1943*, Indiana University Publications, Slavic and East European Studies, Vo.3, 1956, s.128-138).

Aktualny stan integracji środkowoeuropejskiej określić można jako luźną współpracę. Zaczniemy od Grupy Wyszehradzkiej, która początkowo jako Trójkąta Wyszehradzkiej założona została w Wyszehradzie na Węgrzech 15 lutego 1991 roku przez 3 prezydentów: Lecha Wałęsę, Vaclava Havla i Jozsefa Antalla. Grupa krytykowana jest obecnie za brak wspólnego stanowiska w sprawie wojny na (pardon!) w Ukrainie oraz integracji europejskiej. Węgry i Słowacja mają odrębne niż Polska i Czechy zdanie. Różnice te wynikają między innymi z faktu, że na Węgrzech i na Słowacji rządzą partie o innym zabarwieniu politycznym niż w Polsce i w Czechach. W dłuższej perspektywie Grupa sprosta zapewne tym trudnościom; obecne rządy w tych dwóch państwach nie będą trwały wiecznie. Zresztą różnice załagodzić może wkrótce zapowiadany jakiś rodzaj kompromisu na Ukrainie. Jak na razie Grupa Wyszehradzka działa wspólnie tam, gdzie interesy 4 państw bywają zbieżne: rozwój energetyki, transport i ochrona granic strefy Schengen. Druga połowa 2024 roku upłynęła pod polskim przewodnictwem. Poważnym zakłócenie dla współpracy wewnątrz Grupy okazać się może jednak przypadek posła Marcina Romanowskiego, który przed polskim wymiarem sprawiedliwości schronił się na Węgrzech. Mimo, że Grupa Wyszehradzka jest grupą nieformalną, to w roku 2000 powołała w Bratysławie Międzynarodowy Fundusz Wyszehradzki, który z powodzeniem działa w kilku dziedzinach, m.in. na polu edukacji. W okresie II wojny światowej federaliści środkowoeuropejscy spodziewali się, że konfederacja polsko-czechosłowacka będzie jądrem (sercem) zjednoczonej Europy Środkowej. Te nadzieje odżyły z chwilą powstania Grupy Wyszehradzkiej, która dla wielu miała być początkiem integracji środkowoeuropejskiej. Na ile to się udaje trudno w tej chwili w pełni ocenić, ale zapewne Polska i Czechy należące do Grupy Wyszehradzkiej odgrywają w tym procesie widoczną pozytywną rolę.

Teoretycznie rzecz biorąc najbliższą realizacją idei integracji naszego regionu jest Inicjatywa Trójmorza. W praktyce wygląda to jednak o wiele słabiej. A początki zapowiadały się dobrze. W dniach 25-26 sierpnia 2016 roku w Dubrowniku (Chorwacja) miało miejsce spotkanie pod hasłem „Trójmorze”. Obradowali tam przedstawiciele 12 państw, prezydenci: Chorwacji (Kolinda Grabar – Kitarović, Polski (Andrzej Duda), Węgier (Janos Ader), Litwy (Dalia Grybauskaitė), Słowenii (Borut Pahor), Bułgarii (Rosen Plewnelijew) oraz ministrowie z Czech, Rumunii, Słowacji, Austrii, Estonii i Łotwy. Pierwsza część obrad prowadzona była wspólnie przez prezydentów Polski i Chorwacji i dotyczyła spraw politycznych. Druga natomiast kwestii współpracy między rządami i firmami w obszarach infrastruktury energetycznej, transportowej i innych. Uczestnicy przyjęli wspólną deklarację o ustanowieniu nieformalnego, politycznego mechanizmu współpracy i koordynacji działań na rzecz wspólnych wysiłków inwestycyj-  
*ukończenie na str. 14*

## Integracja...

dokończenie ze str. 13

nych dotyczących infrastruktury transportowej, energetycznej i informatycznej. W deklaracji podkreślono, że inicjatywa Trójmorza respektuje fundamentalne wartości i zasady Unii Europejskiej Obradom nadawali ton prezydenci Chorwacji i Polski. Prezydent Duda oświadczył w Dubrowniku, że państwa Trójmorza chcą się rozwijać, zacieśniać więzi, budować wspólną przestrzeń współpracy gospodarczej i w zakresie bezpieczeństwa. Chcemy jedności i integracji, co nie oznacza jednak, że chcemy uniformizacji. Z kolei prezydent Grabar-Kitarović podkreślała, że inicjatywa Trójmorza nie jest ukierunkowana na oddalanie się od Unii Europejskiej, ale na zacieranie różnic między państwami regionu oraz z tymi krajami członkowskimi UE, które mają dłuższą historię demokracji i wolnego rynku. Wyraziła nadzieję, że przez konkretne projekty i dzięki wspólnej wizji Europy prawdziwie wolnych krajów, a nie peryferii, inicjatywa przyczyni się do wzmocnienia samej Unii. O potrzebie wzmocnienia UE czytamy także w deklaracji. Zgodzono się w niej, że współpraca na obszarze Trójmorza, jak również wewnątrz Unii oraz w całej przestrzeni transatlantyckiej musi zostać ożywiona, „jednak bez tworzenia struktur równoległych wobec istniejących już mechanizmów współpracy”. W tym kontekście prezydent Duda ocenił, że „polityka zacieśniania więzi” między państwami Trójmorza jest elementem wspierającym unijną politykę spójności. Jej celem jest rozwój gospodarczy i zwiększenie konkurencyjności państw regionu. Kraje Trójmorza stanowią istotną część wspólnoty euroatlantyckiej. Dotychczasowy rozwój tego obszaru dokonywał się przede wszystkim na osi Wschód – Zachód. Dywersyfikacja dostaw energii: korytarz gazowy Północ-Południe i jego realizacja zmieni oblicze sektora energetycznego w regionie Europy Środkowej, chodzi tu o projekt korytarza gazowego łączący terminal LNG w Świnoujściu z terminalem na chorwackiej wyspie Krk. Prezydent zwrócił uwagę, że realizacja tego przedsięwzięcia otworzy możliwości dalszej dywersyfikacji źródeł energii i pozyskiwania go m.in. z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu, USA czy Kanady. Po uruchomieniu obu terminali, jak również zbudowaniu brakujących interkonektorów, region środkowoeuropejski stanie się atrakcyjnym rynkiem dla nowych dostawców. W dyskusji pojawiały się dwa zasadnicze wątki: infrastruktura energetyczna, która umożliwi dywersyfikację dostaw i wspieranie się w sytuacjach kryzysowych oraz infrastruktura drogowa i kolejowa, a konkretnie projekty takie jak Via Baltica i Via Carpathia (ta ostatnia, biegnąca z Północy na Południe mieć będzie wyjątkowe znaczenie dla lepszego połączenia obszaru Trójmorza). Prezydent zwrócił też uwagę na konieczność umacniania bliskości państw regionu poprzez współpracę naukową i kulturalną. Gdyby udało się spełnić ten ostatni, niezwykle ważny i w zasadzie nowy postulat, oznaczałoby to dalszy krok w kierunku integracji regionu. Uczestnicy spotkania poparli inicjatywę Trójmorza, jako „nieformalną platformę” do pozyskiwania wsparcia dla projektów gospodarczych w regionie.

W roku 2016, w spotkaniu państw Trójmorza w Dubrowniku w roli obserwatorów uczestniczyli przedstawiciele USA, Chin i Turcji. Przedstawiciel Stanów generał James L. Jones powiedział, że Trójmorze to sprawa kluczowa nie tylko dla rozwoju Europy, ale i dla jej bez-

pieczeństwa. Dyrektor Liu Haixing z chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych oświadczył z kolei, że widzi w Trójmorzu partnera dla Jedwabnego Szlaku. Turcję reprezentował wiceminister spraw zagranicznych Ahmet Yildiz, który przypomniał, że Turcja leży nad Morzem Czarnym i jej udział w inicjatywie Trójmorza jest ważny. Natomiast kilka lat później, bo w roku 2024 (11 kwietnia) na 9. Szczycie w Wilnie już nieco inne państwa interesowały się działalnością Inicjatywy Trójmorza, było więc 4 partnerów: Komisja Europejska, Stany Zjednoczone, Niemcy i Japonia. A Ukraina i Mołdawia państwami stowarzyszonymi uczestniczącymi w Inicjatywie. Wszystkie 13 państw Trójmorza należy do Unii Europejskiej (Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Grecja, Węgry, Łotwa, Litwa, Polska, Rumunia, Słowacja i Słowenia). Na swych kolejnych szczytach przyjmują deklaracje, w których koncentrują się m.in. na wzmocnieniu gospodarczym regionu w dziedzinach transportu, energetyki i cyfryzacji. Do Trójmorza przekonały się Niemcy, a Chiny realizują swój Jedwabny Szlak w innym formacie: początkowo 17+1, a obecnie po rezygnacji Litwy i Estonii 14+1. (Albania, Bośnia i Hercegowina, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Grecja, Węgry, Czarnogóra, Macedonia Północna, Polska, Rumunia, Serbia, Słowacja i Słowenia). Chiny swój przyczółek w Europie Środkowej posiadają w Budapeszcie. Format ten jest narzędziem rozbudowy wpływów chińskich w Europie i tworzenia alternatywy dla stosunków naszego regionu ze Stanami i Unią Europejską. Zaletą dla Chin tego formatu jest w pewnym sensie obecność w nim państw Bałkanów Zachodnich nie należących jeszcze do UE. (Albania, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra, Macedonia Północna i Serbia). Na tym obszarze trwa ostra rywalizacja wielu państw, a Chiny, wspomagane przez Rosję, z powodzeniem konkurują politycznie i gospodarczo z Zachodem. Unia Europejska stara się, oby nie za późno, przybliżyć do siebie państwa Bałkanów Zachodnich, ma miejsce proces mający na celu przyjęcie ich do Unii. Szczególny przypadek to Kosowo, które stara się o przyjęcie do Unii Europejskiej, przy czym niektóre państwa (zachodnie jak i te sympatyzujące w jakimś stopniu z Chinami i Rosją) nie uznają tego kraju. Bałkany Zachodnie należą do europejskiej rodziny, a to że ich droga do struktur zachodnich takich jak NATO, Unia Europejska czy Trójmorze napotyka na trudności świadczy o dotychczasowych porażkach Zachodu na tym obszarze w rywalizacji z Chinami i Rosją.

Format chiński jest oczywistą konkurencją dla Trójmorza i wyzwaniem dla Zachodu. Nic dziwnego więc że Trójmorze wspierane jest przez Unię Europejską i Japonię, a przede wszystkim przez Stany Zjednoczone. W Warszawie, na jednym ze szczytów Trójmorza (2017 r.) obecność swą zaznaczył prezydent Donald Trump. Najbliższy szczyt odbędzie w Warszawie 28-29 kwietnia 2025 roku. Prawdopodobnie zaproszony został prezydent Trump i prawdopodobnie weźmie w nim udział, wspomagając nadal Inicjatywę. Pozytywną alternatywą zarówno dla Grupy Wyszehradzkiej, jak i nawet dla Trójmorza okazać się może blok, który powstał niedawno, bo 27 listopada 2024 roku w Szwecji. Składa się on z państw NB8 (Szwecja, Norwegia, Finlandia, Dania, Islandia + Litwa Łotwa, Estonia), do których dołączyła Polska. W państwach NB8 zamieszkuje 30 milionów ludzi, przy czym łącznie mają one dwukrotnie większy dochód narodowy od naszego kraju. (Jędrzej Bielecki, Skandynawia bliżej niż Wyszehrad, Rzeczpospo-

lita, 22.11.2024). Nowy blok stanowi znaczący potencjał polityczny, militarny i gospodarczy zarówno w kontekście Unii Europejskiej (przy czym Norwegia i Islandia do Unii nie należą), jak i NATO. Te państwa z grupy NB8, które należą do Unii zapraszają Polskę na spotkania przed szczytami Unii Europejskiej od czasu zwycięstwa obecnej koalicji w wyborach 15 października 2023 roku. Już po turbulencjach politycznych związanych z Nord Streamem 1 i Nord Streamem 2 było oczywiste, że polityczną definicję Europy Środkowej (między Niemcami, Rosją, Turcją i Włochami) należy rozszerzyć o Skandynawię. Wspólne interesy państw skandynawskich i pozostałych państw środkowoeuropejskich ostatecznie uwidoczniła wojna Rosji z Ukrainą i wstąpienie Szwecji oraz Finlandii do NATO.

Jeszcze jednym formatem, który przyczynia się niewątpliwie do integracji Europy Środkowej jest Bukareszteńska Dziewiątka (B9) zainicjowana w lipcu 2014 roku przez prezydentów: Polski Bronisława Komorowskiego i Rumunii Traiana Basescu. Format ten powołano na szczycie w Bukareszcie w 2015 roku i zwany jest często wschodnią flanką NATO. W jego skład wchodzi: Estonia, Łotwa, Litwa, Polska, Czechy, Słowacja, Węgry, Bułgaria i Rumunia. W Dziewiątce uczestniczą Czechy, mimo, że nie znajdują się na wschodniej flance NATO. Obecnie, z uwagi na nieprzyjazną dla Ukrainy politykę Węgier i Słowacji mowa jest coraz częściej o Finlandii i Szwecji, nowych członkach NATO, jako współpracującymi z innymi państwami na wschodniej flance. W formacie tym brakuje jeszcze Norwegii, która także posiada granicę z Rosją.

Europa Środkowa, przy całej swej różnorodności, miała powody by jednoczyć się w obawie, albo przed Niemcami (Mitteleuropa lub Hitler), albo przed Rosją (carat, ZSRR i Rosja Putina). Niekiedy to zagrożenie miało miejsce z obydwu stron, tak jak podczas II wojny światowej. Interesujące przy tym jak zmieniała się z czasem polityczna definicja Europy Środkowej. Hodża definiował Europę Środkową jako obszar między Rosją, Niemcami, Włochami i Turcją. Niektórzy federaliści środkowoeuropejscy mieli wątpliwości czy zaliczać do Europy Środkowej Austrię, ale Hodża zdecydował na tak. Nie było jeszcze w tak zdefiniowanej Europie Środkowej Ukrainy, Litwy, Łotwy i Estonii oraz Mołdawii, bo kraje te wchodziły wówczas w skład Związku Radzieckiego. Obecnie państwa te są niepodległe i zaliczane do Europy Środkowowschodniej, albo wręcz do Środkowej. Oddzielna kategoria to Białoruś i pytanie czy zdoła utrzymać niepodległość. Po aferze z Nordstream 1 i Nordstream 2 (tutaj można mówić o zagrożeniu dla regionu zarówno ze strony Rosji jak i Niemiec) interesy Polski, Europy Środkowej oraz Skandynawii okazały się wspólne. Tym bardziej po przystąpieniu Finlandii i Szwecji do NATO. Odtąd do Europy Środkowej zaczęto zaliczać także Skandynawię, czyli aktualna definicja polityczna naszego regionu to obszar między Rosją, Niemcami, Włochami, a Turcją, od północnej Norwegii do Salonik w Grecji. Wydaje się, że na zakończenie zaryzykować można twierdzenie, że na integrację Europy Środkowej i zmieniającą się stale polityczną definicję regionu wpływ ma zarówno **wizja, jak i praktyka polityczna**. W najbliższych miesiącach zapadną decyzje dotyczące Ukrainy. Będą one miały przełożenie na przyszłość Europy Środkowej i Unii Europejskiej, a właściwie na losy całego Zachodu. Nowe pokolenia środkowoeuropejskich wizjonerów i polityków pracować będą na rzecz naszego regionu. ❖

**Natalia Kazirod****O miesiącu narodzin**

---

Powracające zmartwienie że  
chwila braku świadomości zakończy się  
przegapieniem następnej światowej katastrofy

dzienne wyżywienie - pół czekolady i kilka pomidorów  
tabletki są trucizną a bez nich  
było trzaskanie wagi i lęk przed mnogością  
teraz udaję że nie rozumiem, dlaczego  
paznokcie łamią się przy nacisku

zgaście wreszcie niepotrzebne światła  
sztuczne gwiazdy do Gromnicznej -  
*czy w istocie dawały wam poczucie jasności?*  
tu nie będzie blasku, idzie luty  
wypłyną brudy wypłynie powtórna apokalipsa

nigdy nie chciałam być człowiekiem -  
podczas gdy chęć istnieje tylko przez to i dlatego  
pomyślał i napisał człowiek  
innym ludziom

im mniej spożywam składników odżywczych  
tym więcej naiwnie karmię się złudzeniem  
że może w innym kraju  
że może gdybym  
że może właśnie to

**Wiesław Marcysiak**\*\*\*

---

Nie można oddzielić zła od dobra  
Nie możemy wyszarpnąć  
...złej tkanki z dobrej  
Noc zlewa się z dniem  
A naprawdę istnieje tylko noc

Ukłucia małych igiełek  
... są dobre czy złe?  
Świat płonie topi się zasycha  
To nie mój świat  
Mój świat nigdy nie  
...był dobry  
Świat oświetlała żarówka  
Przed słońcem uciekałem  
...żeby nie spłonąć  
Rysunki kredą  
na spękany tynku  
Hasła smarkatych proroków  
Obumarłe robaki  
Oskubane strupy  
Rozgniecione ślimaki  
Rozdeptane okulary  
...w służbie błękitnej krwi

**Paweł Wacek****Zabawa**

---

A gdyby tak pierwsza umarła jasność  
A ja leżałbym w łóżku  
Zamykał oczy i nawet nie wiedział  
Że jestem już starszy niż słońce  
Że jestem już szybszy niż światło  
Jak wstanę  
Z mamą pobawimy się w chowanego

**Bartosz Konopnicki****Nocne**

---

Krzyczysz na mnie  
nie chcesz bym ratował  
włochatego kątnika który zagarnął przestrzeń  
pomiędzy ścianami a drewnianą podłogą

to właśnie jego nocne ścieżki  
rysują linie papilarne  
śpiącego domu  
gdy

za polami  
za łąkami  
za lasem

krwę której już nikt  
nie docenia

nikt nie chce

**Adam Michalak****Widzę**

---

Więcej widzę bez hałasu  
mroźnie naostrzonej ciszy  
gwiazd otwieram oczy  
płatkami snu

przykryty powiekami rolet  
uchylam lunatycznej pełni  
oceanu mleczny brzeg  
wytknięty palcem samotności  
piszący

wywołane z mroku atramentu  
słowa śnieżnie przymrużone  
„Mane Tekel Fares”  
rzesami ciemności

**Wioleta Szarwas****Atalia**

---

nie bój się

to nie twoja wina  
że oczy lśnią  
ciemnym bursztynem

nie bój się  
to tylko chwila

uniesiemy się ponad dym

już nikt nie zapyta  
o imię  
i hebanowy szelest piór

zostawimy  
łzy pachnące popiołem  
i serca  
pęknięte na pół

niebo  
wpadnie w nasze ramiona

nie bój się

idź

**Grzegorz Borowiec****Nie będzie**

---

Jesteś moim miastem  
z którego usług już nie korzystam  
a tylko mieszkam pracuję  
rozrywam się dla spraw nieistotnych

Jesteś moim drutem kolczastym  
jedynym silnym narkotykiem  
dajesz spokój obojętność nic  
brak siły na coś więcej

Jesteś falą krwi  
wrzątkiem polewanym na skórę  
bez litości wycinasz nożem  
duszę po kawałku z nadzieją  
że tak będzie w nieskończoność

**Grzegorz Borowiec****Urojony**

---

Kot patrzy przez okno  
w szronie na nocny świat  
mruga tylko oczami jak pełnia  
żona spokojnie oddycha  
obok śpi z dobrymi lekami

Zastaniam zmysły zwalням oddechy  
płynące do płuc zwalням myśli  
odbijam lęki  
i nic

Mogę spalić wagon papierosów  
zjeść aptekę przebiec ulicę  
sen będzie i tak poszarpany  
niesatysfakcjonujący  
najwyżej urojony

## Jak kręgi na wodzie

czyli słów parę o powieści Anny Błachuckiej „Rodem z Kozłowa”

Natura w swej mądrości wie, że człowiek najbardziej ceni to, co zdobył z trudem. Być może dlatego Ziemia Świętokrzyska szczeni się tak wielu wyjątkowymi ludźmi. Tutaj od wieków nic nikomu nie przychodziło łatwo, dzięki czemu kolejne pokolenia dziedziczyły nie tylko urodę, zdolności i talenty, lecz przede wszystkim wykute w znoju i walce o przetrwanie, twarde jak skała, charaktery.

**Anna Błachucka**, autorka powieści „**Rodem z Kozłowa**” jest tego doskonałym przykładem. Mając za sobą wydanie kilkunastu książek prozatorskich i poetyckich, powróciła do tematu, z którym los zetknął ją w dzieciństwie. Tak jak bohater powieści urodziła się bowiem w Kozłowie. Tam mieszkała jej babcia, której dziadek pamiętał czasy powstania styczniowego i losy rodziny Rzewuskich, w tym Napoleona Zygmunta, bohaterskiego rotmistrza, którego oddział skutecznie dawał się we znaki Moskalom aż do 1864 roku.

W czasach szkolnych Anna chłonęła opowieści miejscowych nauczycieli i regionalistów o słynnej Bitwie Małogoskiej, nasiąkając lokalnym patriotyzmem i chęcią pogłębienia wiedzy na ten temat. I chociaż została matematykiem, wyszła za mąż, podjęła pracę w szkole, urodziła i wychowywała dzieci, historia życia Napoleona Rzewuskiego okazała się tak porywająca, że każdą wolną chwilę zaczęła poświęcać na czytanie, szperanie w archiwach, penetrowanie internetu, wycieczki po okolicy oraz poszukiwanie żyjących potomków swojego bohatera.

Po latach jej mrówcza praca zaczęła przynosić owoce. Powstało kilka wierszy, opowiadanie, lekcja historyczna, doszło też do cyklu spotkań poświęconych historii powstania styczniowego. Aż nadszedł moment rozpoczęcia pracy nad powieścią.

Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, że zajmie jej to sześć kolejnych lat. Jestem jednak pewna, że tej nieodrodnej córki świętokrzyskiej ziemi, nic nie byłoby w stanie zatrzymać.

I oto w czasach istnej powodzi powszechnie wydawanych płytkich czytań pojawia się powieść, w której ożywają autentyczni mieszkańcy rodzinnej wsi

autorki, co sprawia, że jest ona z nimi związana niemal osobiście. To oni przecież tak niedawno, bo cóż znaczy wiek z okładem wobec wieczności, uprawiali ziemię, chodzili tymi samymi ścieżkami, krzatali się w domach, rodzili i wychowywali dzieci, a przy tym wszystkim marzyli o odzyskaniu wolności ojczyzny.

Dlaczego więc ich marzenia, mimo straceniowej walki w kolejnych krwawych powstaniach, nie miały szansy się spełnić? Powieść Anny Błachuckiej doskonale to pokazuje.

Otóż społeczeństwo polskie tamtego okresu można porównać do ogromnej wodnej połaci, na której prądy wolnościowe poruszały lekko tylko jej powierzchnię nie docierając do niezgłębionej, na ogół niepiśmiennej masy ciężko pracujących ludzi skupionych przede wszystkim na walce o zdobycie kawałka chleba. Rozrzucone po okolicy dwory, niby kręgi na wodzie, ogarniały swym wpływem jedynie najbliższe otoczenie. Wszak tekstem pisany, z którym chłop miał styczność, były głównie fragmenty Pisma Świętego czytane przez księdza na niedzielnej mszy. Kształcić się bowiem mogły przede wszystkim dzieci właścicieli ziemskich, urzędników państwowych oraz bogatego mieszczaństwa, chłopskie zaś od wczesnego dzieciństwa pomagały rodzicom w pracy.

Przeciętnemu zjadaczowi chleba w dzisiejszych czasach trudno jest nawet sobie wyobrazić, jak bardzo różniły się światy mieszkańców wiosek i członków rodzin właścicieli ziemskich dziewiętnastego wieku. Dlatego warto zajrzeć do książki Anny Błachuckiej, która potrafiła to świetnie ukazać. Warstwa te dzielił bowiem nie tylko poziom życia i wykształcenie lecz także warunki zamieszkania, sposób odżywiania się, ubierania się, zwyczaj, kultura, a nawet mowa. Na dworze mówiono językiem literackim, a wieś posługiwała się gwara. I to niejednolita, bo nawet na początku i na końcu tej samej miejscowości, wymowa często się różniła. Nic dziwnego, że dotarcie z agitacją, z przygotowaniem do powstania, czyli próby masowego wciągnięcia chłopstwa do konspiracji, mimo usiłowań, nie przyniosły większych rezultatów. Do

powstania dołączyły jedynie nieliczne grupki chłopskich kosynierów. Znacznie bardziej świadoma i zaangażowana okazała się brać robotnicza, w związku z czym chętniej przyłączała się do powstańców.

Nie ma co dziwić się chłopstwu, skoro nawet dorośli członkowie rodzin konspiracyjnej młodzieży często o niczym nie wiedzieli. A gdy powstanie już wybuchło, mając na uwadze dobro i bezpieczeństwo rodzin oraz utrzymanie i uprawę ziemi, która ich żywiła, też nie wzięli bezpośredniego udziału w walkach ograniczając się do ewentualnego zorganizowania opieki nad chorymi i rannymi, dostarczenia żywności, przekazania posiadanej broni, czy wieści dotyczących ruchów Moskali. Do powstania styczniowego przygotowywała się i do niego przystąpiła przede wszystkim młodzież. Między innymi dlatego, że do niej organizatorom było najłatwiej dotrzeć, wykorzystać jej młodzieńczy zapał i wiarę w zwycięstwo, pomimo braku doświadczenia i uzbrojenia, bo kije, kosy, siekiery, zabytkowe egzemplarze białej broni oraz nieliczne strzelby myśliwskie w starciu z doskonale wyposażonymi, otrąskanymi w bojach oddziałami Moskali, realnie patrząc, szans im na to nie dawały. Mimo to walki trwały około dwóch lat.

Anna Błachucka ukazuje to wszystko z perspektywy głównego bohatera powieści, jego rodziny i znajomych. I tu uwidacznia się jej solidna wiedza dotycząca tego okresu historycznego. Autorka albowiem niczego nie robi połowicznie, dlatego przygotowując się do pisania, nie ograniczyła się do przestudiowania kilku pozycji, a przeczytała ich ponad osiemdziesiąt! Nic dziwnego więc, że czytelnik otrzymał powieść, w której zachwyca głęboka znajomość realiów obyczajowych, m. in. uderza drobiazgowość w oddawaniu szczegółów dotyczących trybu życia dworu, codziennych zajęć domowników, podziału obowiązków, kulinariów, sposobów wychowywania dzieci, skomplikowanych powiązań rodzinnych i towarzyskich, tradycji świątecznych, religijnych, myśliwskich, sposobów leczenia chorób, podróżowania, kształcenia młodzieży itd. itp.

Przykładem może być chociażby opis kuligu, w czasie którego poznali się rodzice bohatera powieści, znajomość skomplikowanych zasad polowania czy przejmująca relacja z przebiegu epidemii cholery. Być może pamięć o niedawnej pandemii, która przetoczyła się niedawno przez świat spowodowała, że rozdział poświęcony walce z cholera zrobił na mnie tak duże wrażenie. Skoro w dwudziestym pierwszym wieku wykorzystując wszystkie możliwości cywilizacji, którą się lubimy chlubić, tak długo walczyliśmy z rozprzestrzenianiem się wirusa, jak mieli to zrobić ludzie żyjący w wieku dziewiętnastym? Książka doskonale pokazuje, że w czasach powszechnego braku wiedzy na temat przyczyn choroby, nieznajomości lub niemożliwości przestrzegania podstawowych zasad higieny, nie mówiąc już o zbyt małej ilości praktykujących lekarzy, którzy też nie mieli na nią remedium, epidemia była nie do opanowania. Śmierć zbierała obfite żniwo, szczególnie wśród najmłodszych. Były rodziny, które straciły nawet po pięćdziesiąt dzieci...



**NOCLEGI  
ŻNIN**

Stara  
**KAMIEDICA**

**5**  
ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • [www.noclegiznin.eu](http://www.noclegiznin.eu)



Akcja toczy się wartko, książkę czyta się więc jednym tchem. I oto ledwo się Napoleon Rzewuski urodził, a już jako wzorowy uczeń Zakładu Naukowego Męskiego w Kielcach został wyróżniony przez dyrektora, w nagrodę pojechał na wycieczkę zorganizowaną przez Wyższą Szkołę Realną, potem tę szkołę ukończył i został studentem Instytutu Agronomicznego na Morymoncie, który w wyniku reorganizacji przekształcono w Instytut Politechniczny i przeniesiono do Puław. A przy tym przez cały czas należał do tajnej organizacji szkolącej dziesięcioosobowe grupy przyszłych powstańców. Przed wyjazdem do Puław grupa Napoleona Rzewuskiego została zaprzysiężona w kościele św. Boromeusza w Warszawie, z każdym dniem bowiem narastał w kraju przeciwko prześluceniu Moskali krwawo tłumiących każdą manifestację, a przy tym nie dosyć, że bezlitośnie strzelających do tłumu, to na dodatek zabraniających urządzania pogrzebów zabitym.

I oto przyszedł upragniony rozkaz. W ciemności i deszczu z punktu zbornego w Kazimierzu wyruszyli w kierunku Końskowoli. Autorka podkreśla, że już początek powstania wykazał jednak kompletny brak organizacji i rozpoznania. Otóż oddział maszerującej młodzieży w ostatniej chwili dostał wiadomość o czekającej na nich zasadzce wyposażonych w armaty Moskali, dzięki czemu zdołał zawrócić. Następne dni potwierdziły obserwacje i rodzące się obawy naszego bohatera. Brak koordynacji, dyscypliny, prawdziwego, fachowego dowództwa napełnił go wieloma wątpliwościami, niemniej próbował zapanować przynajmniej nad swoim dziesięcioosobowym oddziałkiem.

Najsmutniejsze jest to, że nie tylko z brakiem uzbrojenia i fachowego dowództwa musieli się zmagać powstańcy. Pierwsza bitwa, a właściwie rzeź oddziału, w którym walczył nasz bohater, spowodowana była kompletnym zaskoczeniem na skutek donosu okolicznego chłopca. Zdrada nie pierwszy i nie ostatni raz przyniosła krwawe żniwo.

Uderza realizm opisu pobojuwiska, okrucieństwo Moskali dobijających rannych, wręcz znęcających się nad stosami ciał. Ciężko ranny Napoleon Rzewuski wywieziony z pola bitwy i ukryty u znajomych w Kielcach powoli odzyskiwał zdrowie, tymczasem oddziały powstańcze nadal działały chaotycznie, bez wzajemnego porozumienia i koordynacji, każdy dowódca realizował bowiem własny plan, co nie mogło się skończyć inaczej, niż kompletną klęską. I tak właśnie się skończyła słynna bitwa pod Małogoszczem, o której autorka słyszała od dzieciństwa. Oddziały powstańcze Langiewicza i Jeziorańskiego zostały zaskoczone, okrążone przez Moskali i zmuszone do wycofania się, a następnie przekroczenia w bród lodowatych wód rzeki i szukania ratunku w lasach. Małogoszcz strawił zaś pożar. Blisko dziewięćdziesiąt rodzin zostało pozbawionych dachu nad głową i straciło dorobek życia. Spalony został budynek magistratu, szkoły, poczty, apteki, browaru, karczmy, oraz warsztatów szewskich, garncarskich, bednarskich, stolarskich itd. itp. Nic dziwnego, że pamięć o tej gehennie zapisała się trwale w

pamięci okolicznych mieszkańców. Tym bardziej, że w kolejnej bitwie w okolicach Małogoszcza sytuacja się powtórzyła.

Któż lepiej potrafiłby opowiedzieć o przebiegu bitwy niż mieszkająca w Małogoszczu autorka? Dla niej nazwy występujące w tekstach źródłowych były bliskie od dzieciństwa, przemierzyła wszak wszystkie okoliczne ścieżki, zaułki, wzgórza i doliny, leśne trakty i gęstwiny, przejrzała się w lustrze niejednej strugi i rzeczki.

Rozrzucone po okolicznych lasach oddziały powstańców przez cały 1963 i 1964 rok niby kręgi na wodzie znałyby swą obecność upragnionym zwycięstwem to znów kolejną bolesną klęską w potyczkach i bitwach, do których dochodziło. Starały się przetrwać, nie stracić nadziei, chociaż nadal brakowało koordynacji i współdziałania. Każdy kolejny miesiąc, tydzień czy dzień mógł być ich ostatnim...

Jedni przetrwali dłużej, inni krócej, Napoleon Rzewuski nie widząc innego wyjścia rozwiązał swój oddział wiosną 1964 roku. Zdziękowany w bojach, wycieńczony przez chłód, choroby i brak żywności, pozbawiony nadziei na kontakt z innymi powstańcami, na pomoc Francji i Anglii, na co daremnie czekał, otoczony przez Moskali, polecił, by każdy na swój sposób ratował życie, bo może być jeszcze kiedyś ojczyźnie potrzebne.

Książka Anny Błachuckiej uświadamia nam, że dopóki nie nauczymy się współdziałać, wsłuchiwać się w głos drugiego człowieka z życzliwością i chęcią zrozumienia, traktować z szacunkiem każdego współobywatela, nadal będziemy społeczeństwem skazanym na porażki. Niestety, rzeczywistość uświadamia nam, że jak dotąd niczego się nie nauczyliśmy, od wieków powtarzamy bowiem te same błędy. Może częściej powinniśmy zgłębiać przyczyny naszych niepowodzeń i wyciągać wnioski na przyszłość, tak jak to zrobiła w swojej powieści ta utalentowana i niesłuchanie pracowita córka ziemi świętokrzyskiej? ❖

**Marek S. Podborski**

**Duch DAG Bromberg**

Na Piastów ziemi strzegą jak Moai  
nieba patrioty za miliony  
czujne co do joty  
jak wierne psy nocą węszące  
wilki wokół  
stada

Biada nam biada przez sploty  
informacji obława  
spycha nas do jaskiń syfonów  
i czolobitność w dłoniach  
ostrzy zęby maszynom

Ma szyny półtonów  
mapuje każdy kąt  
nie wyjdiesz  
z obrazu

Oparów

**Stanisław Szpiler**

**Słoń**

Mój słoń poznał dzisiaj mojego kota.

Dzień mojego słońca zaczął się spokojnie. Obudził się, przetaił oczy, wypił poranną herbatę. Mój słoń nie ma ciosów, ale mu to nie przeszkadza. Jest pogodnym słońcem, spokojnie przeżywającym swoje lata. W świetle wschodzącego słońca mój słoń wyglądał na brzoskwiowego, ale jego skóra jest tak naprawdę bardzo jasna, wręcz biała. Mój słoń jest bardzo porządnym słońcem, więc po herbacie i śniadaniu poszedł się umyć. Wyszczotkował zęby, umył trąbę i uszy, wypolerował paznokcie, wycesał ogon. Zaraz po toalecie zabrał się do pracy. Usiadł na swoim wytartym już miejscu i zaczął podziwiać widoki za odgradzeniem. Podziwiał przechodzących ludzi i ułamki ich małych historii. Podziwiał przejeżdżające samochody, motocykle i rowery oraz przechodzące psy i koty, przelatujące ptaki i owady. Widział człowieka, który wyrzucił się na rowerze, a także wielkiego, włochatego psa próbującego znaleźć biało-czarnego kota, który schował się pod zaparkowanym samochodem. Słyszał dzwony kościoła zwołujące na msze i słyszał skrzekot wron.

Tak mój słoń spędził swój dzień aż do późnego popołudnia. Późnym popołudniem jego świat wyrzucił się do góry nogami. Mój słoń poznał mojego kota.

Mój kot wskoczył do mojego słońca. Słoń na początku trochę się przeraził, bo nie spodziewał się gościa. Baczynym okiem spojrzął na kota, zmierzył go wzrokiem i przeanalizował. Słoń doszedł do wniosku, że ten kot jest nadzwyczaj innym kotem od tego, którego widział z daleka. Mój kot od tamtego kota różni się głównie umaszczeniem. Ma na sobie dużo więcej kolorów. Poza tym wydaje się różnić także usposobieniem. Mój kot jest bardzo aktywnym i ciekawym świata kotem, a jednocześnie niezależnym indywidualistą. Wobec tego, zainteresował się słońcem. Obwąchał go, obejrzał z każdej strony, obszedł dookoła. I stracił, jak to koty mają w zwyczaju. Podniósł swoją włochatą łapkę z różowymi poduszczkami i stracił słońca z parapetu. A był to naprawdę porządny, słicznie malowany, porcelanowy słońnik. Sam wysoki na może sześć centymetrów słońnik spadł z osadzonego na prawie metr nad podłogą parapetu i rozpuł się w części. Najwidoczniej kot poczuł wyższość względem słońnika, a co ciekawe rośliny nigdy nie doświadczyły takiego traktowania ze strony kota.

Mój biedny, mały, porcelanowy, biały i malowany w niebieskie i złote wzorki słońnik stracił trąbę i przednie nóżki, i został w trzech częściach.

Kot po zdobyciu terenu swobodnie rozłożył się na wcześniej wspomnianym parapecie, umył się i poszedł spać. ❖

**INTERNISTYCZNA PRAKTYKA  
LEKARSKA**

dostępna w Prowansji (Francja)

Niezbędna znajomość języka  
francuskiego

Kontakt: erlomar@wanadoo.fr

**Wojciech Trzciński****O poecie**

poeta to stworzenie podejrzanę  
siedzi w fotelu  
leży na tapczanie  
chodzi od do  
jakby w więzieniu  
marszczy brwi  
częściej wzrok ma pusty  
jak po lobotomii  
czasem się zaśmieje  
jakby halucynował

poeta jest taki wrażliwy  
ale niech jego kobieta przerwie mu  
prosząc aby wypowiedział się  
które buty kupić w sklepie internetowym  
już on jej pokaże wrażliwość  
burcząc opryskliwie  
patrzenie w wyrzutem na nią  
wtedy co najmniej

poeta jest przepelniony pychą  
jak pióro atramentem  
ciemną materią  
albowiem wydaje mu się  
że skoro składa wersy  
jest stwórcą jak Słowo  
które było na początku  
nie przypadkowo zapewne  
kwiat Narcyz biały  
nazywają w martwym języku  
Narcissus poeticus

poeta jest najlepszy  
lekką podchmielony  
oszałały z wrażliwości  
wielkoduszny i magnetyczny  
rozdaje wtedy w uniesieniu słowa  
jakby się sypały monety  
w literackim kasynie  
w lirycznym Las Vegas  
gdzie właśnie na jednorękim bandycie  
wypadły w wygranej w szeregu  
trzy głowy Miłosza

**Barbara Kwiatanowska****Umowny wyrok**

W lirycznym schronisku  
dla Poetów specjalnej troski  
tych na etacie  
i tych po godzinach  
rozpościerają się dramatyczne hamaki

W beczasie wieczności  
i wieczności czasu  
snują się posępne sylwetki  
zmierając na przymiarkę więziennej kreacji  
kuriozalna posada  
atrakcyjnie monotonne stanowisko

tylko

ironiczne lustra drwią:  
„Poeto-anakolucie świata  
skazany na dożywotnie meandry poniedziałków”

**Krzysztof T. Konecki****Tractatus de lingua Polonica**

Język Polski był pierwszym językiem świata,  
Pan Bóg po stworzeniu ziemi, zwierząt, ludzi,  
i niedzieli,  
dał światu język Polski,  
ale ponieważ naród ten był bardzo grzeszny  
postanowił pomieszać języki ludzkie,  
żeby Polacy jako pierwszy naród tego świata  
nie czuli się zbyt wyróżnieni,  
dlatego teraz można odnaleźć ślady języka polskiego,  
we wszystkich językach świata,  
np. mama, dupa, miau, kupa.

Wszystkie inne słowa są takie same,  
tylko znaczenia mają inne,  
podobnie jak naród Polski jest inny i wyjątkowy

**Barbara Gruszecka-Matek****Jerzy z tego wiersza**

Jerzy z tego wiersza jest w podeszłym wieku,  
ubogi i ubogacony, prosty i prostopadły,  
ugięty pod ciężarem krzywoliniowych pleców.  
Jerzy z tego wiersza jest, a to wcale nieoczywiste,

ani wykształcony, ani trener, ani couch,  
ale kiedy o sukinsynu z biura mówi  
człowiek niedostępny, to ja sama to odkrywam.

Terazniejszością się nie szasta.

**Grzegorz Legawski****Drugi tydzień studiów**

Poeci,  
którzy przestali słyszeć muzykę,  
zaczęli badać ciszę  
między nutami.

Teraz mówią o sobie  
*profesorowie.*

**Michał Piechutowski****Ano właśnie**

Pocztówki Literackie Maliszewskiego  
Nie zanurzę się w Odrze jak w Styksie  
Nieśmiertelność nie jest dla mnie  
Ratownik pan Karol jest bardzo czujny  
Od razu stanowczo wyciąga mnie na brzeg  
Nim zdążę wejść choćby po kostki  
W tej sytuacji nie dostaniecie nawet  
Pamiątkowej pocztówki z moim wierszem  
Może nie umrę ugodzony strzałą w piętę  
Tylko od paprzającej się rany za uchem  
Ale to już nie robi większej różnicy

**IRONIE****Michał Piechutowski****Mistrz nowomowy polskiej**

Braki w odczytaniu  
nazywa autarkią kulturową

A kiedy gada do siebie  
to na widok znaczących spojrzeń  
tłumaczy że myśli na głos

Zawsze taki był  
Jako dziecko  
Na gównie mówił papu  
A na Stalina wujek

**Dorota Czerwińska****lifting**

współczesna sztuka nie dociera  
do Joanny  
ona próbuje dojść  
do sedna sprawy  
może za szybko  
ale jak pogonić kiedy  
co krok potykasz się o sople kaleczącej  
metafory  
i odniesienia

od niesienia  
garb wyrośnie  
a zgrabną gibką pragnie być  
Joanna

współczesna sztuka choć naciera  
nie podchodzi

**Michał Piechutowski****A jeśli**

Dożyję setki  
stanę się wymierającą  
mniej niż etniczną

Nikt już nie będzie  
rozumieć mojego języka  
tradycji i obyczajów

Moje śmierdzące moczem  
łóżko w domu starców  
będzie skansenem i rezerwatem

Będą mnie odwiedzać  
wyłącznie lingwiści  
historycy i etnografowie

**Jacek Jaszczyk****List z emigracji LXI**

1.

Otwarta książka *Jak Irlandczycy ocalili cywilizację...*  
w zawilgoconej bibliotece, na ścianach historia,  
dobiega końca piąte stulecie,  
Cesarstwo Rzymskie plądrują hordy barbarzyńców,  
przez otwarte okno wpada horyzont.

2.

Myślę o ulicach ubranych w świerki i o tym,  
że coraz mniej czasu na spacer  
alejkami domu towarowego Brown Thomas,  
który kończąc agonię znika.

3.

Za drzwiami, gdzie koncert bezdomnych, recytują słowa,  
a potem wydaje się im, że są Rea Garveyem  
podczas występu w Wiesbaden.  
Nie chcemy zamieniać kolejności,  
przeliczamy zwrotki, które wychodzą nierówno,  
zanim z Parnell Street znikną żebrzące Cyganki,  
spalony tramwaj zostanie wywieziony na złomowisko.  
Czarnoskórzy milczą przeczując,  
kilku Amerykanów uśmiecha się,  
gdy rozmawiamy o Muzeum Irlandzkiego Życia Wiejskiego  
i sztormie, który nie zdążył się zacząć, a już się skończył.

4.

W Phoenix Parku szukamy mistrzów  
opowieści Oscara Wilde'a i Samuela Becketta,  
skurczeni w cieniu jałowca  
są młodzi i piją whisky,  
którą wynalazł Święty Patryk wtedy,  
gdy iryjscy mnisi nazywali ją *uisce beatha*.  
Od tego czasu nie zmieniło się nic i wszystko się zmienia.

5.

Gdy dotykamy zimnych murów klasztornych,  
w *Księdze z Leinster* poezja nabiera kształtów.  
Maszerujemy z nią w procesji przez Leitrim, Cavan, Donegal,  
Monaghan, odnajdując się w twarzach zmęczonych rolników,  
którzy w sklepie Avoca na Suffolk Street w Dublinie,  
zostawili kłębki wełny, przez stulecia strzegącej tych,  
którym na ścieżkach Klifów Moheru Atlantyk zakrywał oczy.

6.

Nad brzegiem zraniona łódź, może próbowała dopłynąć do granic raj, do którego Deirdre i Naoisem w *Żegludze świętego Brendana opata* nigdy nie próbowali dotrzeć.  
Teraz jej losem kołysze coraz bardziej złowrogi ocean,  
gdy uwięziona jak słowo w *Balladach o więzieniu w Reading*,  
stała się częścią tego samego krajobrazu,  
z którego już dawno wiatr zatarł w nas ucieczkę.

**Robert Drobysz****W lesie wawrzynowym La Gomery**

wodospad piasku  
pomiędzy palcami

drzewo skręcone jak jogin  
w modnym asanie  
wcepione czekanami korzeni  
w ziemię

rozładowała się komórka  
brak zasięgu Zachodu

**Paweł Wacek****Środki własne**

Czy jak już wykupią nas Chińczycy  
spytasz mnie jeszcze czasem  
Co ja mogę dla ciebie zrobić?

**Jakub Fornagiel**

\*\*\*

Wyemigrowałem  
Chcąc odmienić życie  
Lecz sprzeniewierzyłem kolejną z szans  
Niezmiennie póki przy sobie trwam  
Doświadczam nawrotów  
Przeżyłem świt roboczego dnia  
Gdy świat wydawał się tak paskudny  
A ulice pełne pustek  
I w Utah gdy słońce wstawało wyłącznie dla nas  
Wpatrywałem się w zamglone spojrzenia  
Córek Los Angeles  
I śledziłem drżenie każdego mięśnia ich synów  
Nawiedziłem nagrobek — osobistą Mekkę  
Pamiętając jednak że bogów się nie nachodzi  
Pozwoliłem mu umrzeć  
Chociaż odszedł trzy dekady temu  
Wznosząc kufel po raz ostatni  
Spaliłem list  
I zawróciłem  
Wybierając tę samą ścieżkę

**Piotr Szczepański****jakby miał się zdarzyć ten wyjazd  
na długie wakacje (saudade/ tęsknota)**

jak zwykle  
mało miejsca w Sao Paulo  
mimo  
że pięter w bród  
wymiatamy asfaltowymi podbrzuszeniami  
stare kąty

półwyspy przecinają  
skiste ogórkowe wody  
kroją jak nożyce ogrodnicze

zaraz wstążki zakryją  
penitencjarny system  
tukany i ary będą zezować  
zza stalowych krat

z mięszu młodego  
mango  
wciąż ucieka sok  
po czym godnie zsiadamy  
z kolarek Caloi  
Hiszpanie i Holendrzy  
pokonani własną bronią  
nad Atlantykiem

wsluchiwanie się  
w echo  
melodii nadającej słowom  
elastyczność baniek mydlanych  
wybuchających  
na koniec karnawału

bierzemy  
wszystkie historie  
od razu do pamiętnika  
wierzymy w więcej  
niż przystoi  
dajemy nieskończony kredyt  
z podwójnych dziurawych kieszeni

## Krystyna (1)

Wiedziałam już, że jadę do Paragwaju. Ale nic nie wiedziałam – poza suchymi, książkowymi relacjami – na temat warunków życia w tym kraju, obyczajów, opieki medycznej itp. Jedyłą znaną mi osobą, która mogła udzielić jakiś wyjaśnień był Ryszard Kapuściński jako człowiek o olbrzymim doświadczeniu, podróżnik, który zwiedził ponad setkę krajów. Zdecydowałam się skorzystać z posiadanego numeru telefonu i poprosić o radę. Jakaż wielka była moja radość, gdy okazało się, że Pan Kapuściński jest na miejscu, w Warszawie, doradza mi wyjazd twierdząc, że nie będzie żadnych niebezpieczeństw dla mojej rodziny, a zwłaszcza dla mojego malucha, a na dodatek obiecuje dać namiary na Polkę, mieszkającą w Paragwaju na stałe, jego znajomą! Niedługo potem Pan Kapuściński pojawił się w Poznaniu, goszcząc na zaproszenie redakcji miejscowego *Głosu Wielkopolskiego* i na spotkaniu z czytelnikami w Instytucie Zachodnim. Oczywiście byłam na tym spotkaniu i wtedy potwierdził, że da mi potrzebne namiary, a następnie już z Warszawy, tuż przed naszym wyjazdem podyktował konieczny adres. Pamiętam, że rozmawiałam z nim mocno zakatarzona i zainfekowana przez grype. Pan Kapuściński pytał gdzie mamy przesiadkę, powiedziałam, że w Sao Paolo. Dodał, że zmienię klimat i dolegliwości miną jak ręką odjął. Czułam

się wtedy podle, pełna obaw przed tak długą podróżą i nie bardzo chciałam mu wierzyć. Ale rzeczywiście – po dojechaniu do Sao Paolo i pierwszym zetknięciu się z tak gorącym klimatem grypa uciekła jak ręką odjął.

Dojechaliliśmy, po trzech dniach podróży z małym dzieckiem, do Asunción. Nikt nie witał nas na lotnisku. Nikt się nie pojawił, ale wtedy nie wydawało nam się to dziwne. Rozklekotaną taksówką dotarliśmy na miejsce, gdzie wyszedł po nas Ricardo – i mieliśmy jednak trochę szczęścia – zapłacił za kurs. Ale tutaj skończyła się cała dobroć naszego paragwajskiego gospodarza. Po dwóch tygodniach wspólnego zamieszkiwania byliśmy wyczerpani psychicznie. Ricardo stosował politykę całkowitej izolacji, a my jako ludzie młodzi chcieliśmy jakiejś odrobiny kontaktu, czegoś w rodzaju nawet nie przyjaźni, ale zwykłej ludzkiej rozmowy. Pamiętałam o kontakcie, który w tej sytuacji był dla nas ratunkiem, kobiecie od Kapuścińskiego, ale coś powstrzymywało mnie, żeby zadzwonić. Może nie chciałam się narzucać, może liczyłam, że na calle dr Morquiuo jakoś nam się ułoży... Ale po dwóch tygodniach byliśmy tak sparaliżowani atmosferą wrogości, jaką rozciągał Ricardo razem z Marią José, że zdecydowałam się zadzwonić.

Telefon odebrała kobieta. Natychmiast zaczęła mówić po polsku kiedy zorientowała się z kim ma do czynienia. Natychmiast też umówiła się na spotkanie. Za parę dni? W krótkim czasie.

Bardzo zależało mi na tym spotkaniu. Miałam wiele do stracenia – musiałam powołać się na znajomość z Panem Ryszardem, a więc dobrze wypaść, poza tym musieliśmy utrzymać ten kontakt, ta kobieta była dla nas jedynym ratunkiem przed Ricardem i jego wizją świata. Umówiliśmy się w poniedziałek, na godzinę 19.00.

Ale tego poniedziałkowego dnia Ricardo wstał około południa. Chodził rozkojarzony po ogrodzie, prowadził jakieś rozmowy telefoniczne kręcąc się z nieodłączną słuchawką przy uchu, jadł, pływał w basenie, wydawał bezsensowne komendy Zulmie i dezorganizował cały dzień. Umówiłam się z mężem, że po całym dniu zajmowania się dzieckiem on przejmie małą o 19.00, wtedy kiedy przyjdzie Pani Krystyna Pisera-Balmaceda, tak żebym mogła spokojnie porozmawiać, co przy moim maluchu było absolutnie niemożliwe. Tymczasem Ricardo robił wszystko, tylko nie zasiadał do pracy, w związku z tym Leszek również nie pracował, obserwował swojego szefa i próbował domyślić się, co może wynikać z jego zachowania. Siedział przy komputerze, próbował wykonywać jakieś swoje zadania, ale całkowicie zależny od Ricarda i jego poleceń pozostawał bezsilny, gdy on ignorował go i mu ich nie udzielał. Tak zeszło nam właśnie do 19.00. Wtedy Ricardo – jakby wiedział, przeczuwał że ma

nastąpić dla nas coś ważnego, poderwał się i usiadł do pracy. Za nim podreptał mój mąż. A ja – niezgodnie z naszą umową – zostałam z Olgą. Na przyściec nieznanej mi wtedy Pani Balmacedy poczyniłam pewne zakupy – kupiłam dorodne winogrona, piękne włoskie (niestety) jabłka, jakieś inne owoce. I czekałam uganiając się za Olgą, którą – szczerze powiedziawszy – powinnam już kłaść spać. Dzwonek do drzwi. Pobiegłam otworzyć. Przy bramie stała wyglądająca młodo kobieta, szatynka z włosami przystrzyżonymi do ramion, z długim kolczykiem zwisającym fantazyjnie z jednego ucha. Obok niej stała dziewięcioletnia dziewczynka o bardzo gęstych czarnych włosach, w okularkach. Wyglądały bardzo sympatycznie i... normalnie. A właśnie normalności wtedy najbardziej potrzebowaliśmy. Wprowadziłam panie do środka, na werandę, tam gdzie postawiłam owoce. Przedstawiłyśmy się sobie i... tutaj wkroczyło życie. Życie w postaci mojego malucha. Otóż Olga za żadne skarby nie chciała pozostać w jednym miejscu. Śmiejąc się głośno, zataczając się aż od tego śmiechu biegała wkoło stolika, a ja – siłą rzeczy – biegałam za nią. Mała biegała, ubrana tylko w pieluchę i koszulkę, biegała, biegała aż potrafiła stolik i na kamienną posadzkę spadła roztrzaskując się z hukiem w drobny mak szklanka z zimną colą z lodem. Patrząc na te zniszczenia z rozpaczą, było mi wstyd, rzuciłam się, żeby posprzątać. Pani Balmaceda przyglądała się wszystkiemu z wielką sympatią i jak umiała usiłowała mi pomóc. Wiedziałam, że przy Oldze nie mamy szans na spokojną rozmowę, na nic nie mamy szans, że Olga jest zmęczona, że powinna pójść spać, że lada moment zacznie jeszcze bardziej kapryścić i coś we mnie pękło. Wzięłam malucha pod pachę, w drugą rękę butelkę, smoczek i wszłam do biura, w którym pracowali mąż i Ricardo. Tam, bez słowa, szybko i gwałtownie położyłam Olgę razem z butelką na biurku przed moim mężem i wyszłam. Zgodnie z umową to on miał się opiekować wieczorem dzieckiem. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zachowanie Ricarda, jego zmarnowany dzień i chęć pracy jaka nasza go wieczorem. Leszek zaniemówił, zaniemówił też Ricardo. Było gorąco, bardzo gorąco, a mnie po raz pierwszy od przyjazdu poniosły nerwy. Zanościło się na grubszą awanturę. Wróciłam do pani Krystyny i kontynuowałyśmy dalszą rozmowę. Oczywiście bardzo przeproszałam ją za zachowanie małej, a pani Krystyna wszystko rozumiała – sama miała dwójkę dzieci – dorosłego już syna studenta Pabla, zwanego w rodzinie Pablito i Alę, Alunię, z którą właśnie przyszła do mnie. Leszek wyszedł do mnie na werandę i przyniósł Olgunię z powrotem – mój bunt nic nie dał, musiałam nadal zajmować się dzieckiem, praca była ważniejsza. Ale Olgunia była już spokojniejsza, łagodniejsza, pierwsze szaleństwo już jej minęło i rozmawiając spędziłyśmy ze sobą ponad godzinę siedząc na naszej milej werandzie. Umówiliśmy się też na następne spotkanie.

Była to pierwsza osoba, z którą rozmawiałam normalnie, po dwóch tygodniach pobytu w domu Ricarda, zarządzającego firmą, w której pracował mój mąż.



**InoNet**  
Szybki INTERNET  
światłowod  
w Twoim domu  
- skorzystaj już dziś  
Skontaktuj się z nami:  
**InoNet**  
Poznańska 225  
88-100 Inowrocław  
TEL. 790-866-797  
biuro@inonet.pl  
www.inonet.pl

Z Krysią Balmacedą mieliśmy już tego pierwszego dnia mnóstwo wspólnych tematów. Przede wszystkim Pan Kapuściński. Okazało się, że Krysia studiowała razem z jego córką, Zofią, iberystykę. Ze doskonale zna twórczość Pana Kapuścińskiego. Że pamięta czasy, gdy pomiędzy jednym a drugim wyjazdem pojawiał się w Warszawie, w ich ciasnym mieszkanku pełnym książek. Rozmawialiśmy o życiu w Paragwaju, o życiu na emigracji – tutaj Krysia była bardziej powściągliwa. Ale co mogła mi powiedzieć, skoro jej życie upływało właśnie tutaj, bardzo daleko od kraju, a ja byłam zaledwie gościem, przyjezdny, który tak szybko jak się pojawił, tak szybko wyjedzie? Umówiłyśmy się na następne spotkanie, umówiłyśmy się, że nasze rodziny się poznają i tak skończyła się pierwsza wizyta.

Już po wszystkim przeprosiłam męża za incydent z Olgą i wszystko dokładnie mu opowiedziałam. Bardzo się ucieszył, wyraźnie był wdzięczny, że zdecydowałam się zadzwonić i zaprzyjaźnić z tą kobietą.

Krysia Balmaceda umówiła się z nami na mieście, w kawiarni *Manzana de la Riviera* – reprezentacyjnej dla Asuncion, mieszczącej się w centrum kulturalnym. Okazało się, że Krysia jest skarbem o jakim marzyliśmy – doskonale zakorzeniona w paragwajskich sprawach, udzielająca się we wszelkich przedsięwzięciach kulturalnych i na dodatek będąca szefową Polonii paragwajskiej. Polonii, którą sama organizowała od podstaw w trakcie swojego wtedy siedemnastoletniego zamieszkiwania w Paragwaju. Pierwsze co rzuciło mi się w oczy w owej kawiarni to plakaty powieszane na ścianie. Plakaty z... polskich filmów. Co tu robią te plakaty? Myślę, że dzięki nim i tak byśmy trafili do Krysi, zapytalibyśmy obsługę i tak trafilibyśmy na Krysię. Okazało się bowiem, że akurat w *Café Mañana* trwał przegląd filmów Andrzeja Wajdy zorganizowany przez Krysię, na który przyszły... dwie osoby. Aż dwie!!! Bodaj w dniu naszego przyjazdu wyświetlano *Krajobraz po bitwie*.

*Manzana de la Riviera* to był właściwie kompleks budynków, starych domów cudem uratowanych przed rozbiórką. Mieściła się w nich kawiarnia, bodaj biblioteka, sale koncertowe i gromadziło się życie kulturalne miasta. Jak się później okazało, w Asuncion nie było wiele takich miejsc, a właśnie *Manzana de la Riviera* ze swoją atmosferą i bliskością sztuki było miejscem wyjątkowym. Kiedyś przyszliśmy oglądać występ grupy folklorystycznej prezentującej ludowe tańce i śpiewy paragwajskie. Wśród widzów zgromadzonych na dziedzińcu było mnóstwo dzieci, dzieci biednych, dzieci biedaków mieszkających w pobliskich slumsach, które również już głęboko w nocy przyszły popatrzeć co się dzieje, ciekawe – jak to dzieci – wszystkiego. I tutaj zdarzyła nam się śmieszna historia. Dzieci, przyzwyczajone do tego, że na co dzień puszczane są samopas, włóczą się po ulicach i zębrzą lub wszelkimi innymi sposobami próbują wycygnąć trochę pieniędzy, zobaczywszy nas, innych, przybyszów o odmiennych twarzach, natychmiast skorzystały z okazji, by wysepić trochę grosza. Wołały głośno: *Moneda*, co brzmiało jak menonici – których małe kolonie można spotkać w głębi Paragwaju. A ponieważ

Olgunia ubrana była w specyficzną suknię, szytą według starego kroju, można nas było posadzić o przynależność do menonitów. Odpowiedziałam, że nie, menonici nie. Dzieci roześmiały się i powtórzyły słowo, które brzmiało jak menonici. Powtórzyłam jeszcze raz nie. Dopiero po jakimś czasie wyjaśniło się, że chodzi im o monety i wtedy zostawiliśmy im trochę drobnych pieniędzy, praktycznie bez żadnej wartości.

Siedzieliśmy z Krysią w kawiarni, której bez przerwy otwarte okna wychodziły na Pałac prezydencki i zatkniętą dumnie na wielkim drzewcu paragwajską flagę i rozmawialiśmy o życiu w Paragwaju. Na koniec Krysia pokazała nam dziwną płataninę drutów, wygiętych szprych, stojącą dumnie na jednej z półek. Okazało się, że to rzeźba ptaka, którą zrobił miejscowy artysta ze... starych parasoli. I właśnie takie stare parasole Krysia dla niego zbiera razem z Alunią.

Coś jednak było w Krysi niepokojące. Była niezwykle sympatyczna, wrażliwa, inteligentna, bogatsza doświadczeniem życiowym. Ale jednocześnie odnosiłam wrażenie, że nieustannie ocenia nas i obserwuje, że stara sobie wyrobić o nas opinię, co w sumie było naturalne – byliśmy przecież zupełnie nowymi dla niej ludźmi. A jednocześnie, że bardzo się cieszy ze spotkania z nami, że przynosimy jej kawałek Polski, że dla niej tak wyculonej na sprawy Polonii i Polski ma to ogromne znaczenie. Od razu opowiadała nam o regionalnych kłopotach Polonii, o tym jak mają się sprawy Polaków w Brazylii i Argentynie, o tym, że Polska nie ma swojego przedstawicielstwa w Paragwaju i ile jest w związku z tym problemów. My natomiast żaliliśmy się Krysi na atmosferę, jaką wytwarza Ricardo i Maria Jose i prosiliśmy, żeby spróbowała nam wytłumaczyć powody takiego zachowania, ponieważ podejrzewaliśmy, że być może mamy do czynienia z obcym kulturowo wzorcem życia. W każdym razie od razu nawiązała się między nami nić sympatii. Alunia towarzyszyła Krysi podczas każdego spotkania – jest to bardzo mądra i inteligentna, żywiołowa dziewczynka, dwujęzyczna, tak jak jej brat Pablito, o co zadbała właśnie Krysia. Metoda była prosta – mąż Krysi mówił do dzieci po hiszpańsku, Krysia mówiła po polsku. Dało to zdumiewające efekty. Okazało się, że Krysia bardzo dba o świadomość narodową swoich dzieci, które tylko nieco jaśniejszym kolorem skóry wyróżniają się wśród rówieśników. Stara się, by były na bieżąco z wydarzeniami w kulturze polskiej, by znały najważniejsze pozycje literatury polskiej, by oglądały najwybitniejsze filmy. By były świadome polskiej tradycji. Na przykład Alunia – chociaż Święta Bożego Narodzenia wypadają w Paragwaju w czasie największych upałów i nie jest przyjęty zwyczaj ubierania choinki – ma małą choinkę i przystraja ją zgodnie z polskim obyczajem. Gdy zapytaliśmy Krysię gdzie wolałaby mieszkać odpowiedziała, że w Polsce... Nie dało się ukryć, Polska jest bez wątpienia krajem bogatszym niż Paragwaj, stabilnym, dającym większe szanse na rozwój i edukację.

I tak pierwsze lody naszej znajomości zostały przełamane, staliśmy się znajomymi państwa Balmacedów. Dało to nam wiele obopólnych korzyści – któregoś dnia

przyjechał na calle dr Morquiao mąż Krysi Pablo, lekarz, który studiował medycynę w Polsce i tak właśnie poznał Krysię. Zabrali nas razem z Krysią i Alunią do muzeum mieszczącego się gdzieś w głębi miasta. Jechaliśmy specyficznymi asunsjońskimi uliczkami, w których bieda z przewagą mieszała się z bogactwem, do nowoczesnego budynku, gdzie mieściło się muzeum sztuki ludowej Paragwaju. Zwiedzanie nie było proste – pamiętam mój wciąż rozbiegany wzrok, który nie wiedział na czym ma się skupić – czy na oglądaniu eksponatów, czy na Olguni biegającej z kąta w kąt. Pamiętam wrażenie, że mimo mnogości zgromadzonych przedmiotów przedstawiających chociażby rzeźbione kunsztownie figurki świętych, czy relikwie miejscowych, ludowych wierzeń, czy przedmioty należące do Indian – miałam uczucie niedosytu, wydawało mi się, że zbiory powinny być większe, bogatsze. Tymczasem zwiedzanie zabrało nam niecałą godzinę, przy czym najciekawsze były wystawione listy żołnierzy z czasów wojny z trzema państwami – Urugwajem, Argentyną i Brazylią, która strasznie wykrwawiła Paragwaj. Ten stosunkowo mały kraj w porównaniu z gigantami, jakimi są właśnie Argentyna czy Brazylia co rusz wikłał się w co najmniej wątpliwe pod względem korzyści wojny. Walka z trzema sąsiadami naraz w obronie niepodległości przypominała mi losy Polski – analogii jest zresztą więcej – i tak jak Polska leży w centrum Europy stanowiąc jakby jej serce, tak Paragwaj nazywany jest sercem, *corazón* Ameryki Południowej – ze względu właśnie na położenie i wielkość terytorium. Pamiętać zresztą należy, że Paragwaj może wykorzystywać jedynie połowę swojego terytorium – drugą połowę stanowi Chaco – rozgrzana do białości, niezamieszkana równina.

Po zwiedzaniu Pablo i Krysia zaproponowali nam łyk *terere* – z termosu nalali zimnej wody do kubeczka, który tradycyjnie krążył z ust do ust. Jakież było ich zdziwienie, gdy nie odmówiliśmy! Pablo odwozi nas do domu. Po drodze Krysia opowiadała nam o mijanych domach, placach, sklepach. Ale jakież to były opowieści! Gdy jechaliśmy w okolicy supermarketu Krysia mówiła – tu można dostać ogórki konserwowe smaku podobne do naszych ogórków... Asuncion to dla Krysi miejsce, gdzie wyszukuje się ślady polskości, ślady własnej ojczyzny. Tu mieszka kobieta, Rosjanka, wysokiej klasy specjalistka od energii atomowej, która tutaj nie pracuje, jest gospodynią domową... Wszędzie, na każdej ulicy można było znaleźć emigrantów, opowiedzieć o ich pokreconych losach, o ich tułaczym życiu i to dla Krysi było najważniejsze. Pamiętam jeszcze opowieść, którą usłyszeliśmy dużo później, o mężczyźnie, który objechał dookoła cały świat i osiadł w Paragwaju – gdyż tutaj cena i wybór trunków wydały mu się najkorzystniejsze. Krysia opowiadała tę historię z dużym zdziwieniem – tutaj wybór trunków! Bo mimo wszystko, mimo przywiązania dla Paragwaju, szacunku dla męża Paragwajczyka i zakorzenienia w tym kraju, w Krysi wyczuwało się przeświadczenie, że znalazła się gdzieś daleko, hen, na końcu świata. ❖

# Tadeusz Zawadowski

## gałąź

---

kolejna bezsenna noc. patrzę w gwiazdy. zbyt wiele by policzyć. są za odległe by stały się namacalne. tylko gałąź za oknem jest realna. uchyla się pod dotykiem mego spojrzenia i co chwila puka lekko w szybę jakby chciała mnie wyprowadzić z tego mieszkania w krainy mego dzieciństwa. cichutko otwieram okno i podążam za nią kalecząc stopy

o wieczność.

## druga strona lustra

---

odpłynęły poza horyzont stateczki mego dzieciństwa. kotwicowiska młodości gdzie kiedyś mocowałem cumy swoich marzeń dzisiaj straszą połamanymi żebrami i rdzą dawnych konstrukcji. a jednak lubię tu powracać. liczyć ślady pozostawionych kroków. wsłuchiwać się w ich rytm. odtwarzać stare szlaki wierząc że kiedyś zaprowadzą mnie na drugą

stronę lustra.

## miasto

---

to był zwyczajny dzień. miasto jak zwykle parowało tłumem spieszących do pracy i zapachem spalin snujących się wzdłuż ulic. szukałem pośród nich swojego miejsca ale moje kroki odeszły gdzieś daleko. tam gdzie miasto kończy swe panowanie a linia morza łączy się z horyzontem. siedziałem na opuszczonej łajbie i liczyłem przybijające do brzegu fale. miasto odpływało ode mnie a jego gwar zakrzykiwały zgłodniałe

mewy.

## imperja

---

wpatruję się w morze i katem oka dostrzegam wszystkie stoczone tu bitwy. zatopione okręty chępiące się swym orężem. karawele zwożące bogactwa z nieznanym lądów. tak rodziły się imperja i rozpadały się niczym zamki z piasku. spoglądam na bawiące się obok dzieci z uporem wznoszące kolejne

imperja.

## jonasz

---

ulice po zmierzchu przypominają otwarte paszcze kaszalotów. polykają domy i przemykających między nimi ludzi. nawet świeżo rozbudzone światła latarni. jak jonasz mieszkam w brzuchu miasta nie znając chwili kiedy fale wyrzucą mnie

na brzeg.

## odleciały żurawie

---

nieopodal domu urządził sobie legowisko niewielki staw. wieczorami w jego sierści zbierały się żaby i głośno plotkowały o miejscowym ptactwie. obok przysiadł na cembrowinie studzienny żuraw i przysłuchiwał się ich rozmowom. czasem tylko zamachnął się zardzewiałym wiadrem płosząc coraz bardziej zacierające się w pamięci obrazki

z dzieciństwa.

## moje rzeki

---

płyną przeze mnie rzeki wraz z rozlewiskami. nazywam je wzruszeniami. próbuję ujarzmić zaporami słów których nie buduję z wielkich liter. tylko małe jest prawdziwe. kryje się w dłoniach jak pisklą które dopiero ma wylecieć w świat. to przed nim odkrywanie nienazwanego. moje rzeki to one prowadzą mnie

do źródła.

## titanic

---

znowu płynę titanikiem. mam nadzieję że w końcu uda mi się rozminąć z fatum i dopłynąć do brzegu. wielokrotnie wsiadałem na jego pokład jednak za każdym razem rozbijałem się o górę lodową ludzkiego zwątpienia. zaczęto uważać mnie za szaleńca. jednak moja kapitulacja oznaczałaby że uwierzyłem w nieodwracalność zdarzeń

i własną śmierć.

## stare drzewa

---

poznałem wiele krajów lecz nigdzie nie odnalazłem siebie. tylko piramidy udawanych uśmiechów ironicznie przymrużone oczy muzeów sugerujących że w swoich wnętrzach kryjemy eksponaty z tej samej epoki. próbuję odrodzić się w sylwetkach mijanych chłopców i spojrzeniach roześmianych dziewcząt ale zbyt szybko stają się przeszłością. tylko stare drzewa obok drogi wyciągają do mnie ramiona

nie pozwalają odejść.

## w magicznym ogrodzie

---

znowu jestem w ogrodzie. przywołuję ptaki które odleciały jesienią i nie chcą powrócić. przygotowuję farby którymi wiosną będę malował skrzydła motylom i kwiatom usadowionym na gałęziach rabat. odliczam dni do ich przylotu i usiłuję przemienić je w godziny. zanurzony w gęstej od magicznych zakłęb mgły czekam co przyniesie

jutro.

Stefan Pastuszewski

## Wszędzie

Ksiądz Henryk usiadł w fotelu i jako podkładkę wzięął na kolana egzemplarz „Newsweeka”, który kilka dni temu, chcąc się czymś zająć, kupił i przewyciężając ociężałość umysłu oraz przemożną tendencję do rozpraszania się, zdołał wymęczyć kilka artykułów. Po pół godzinie, mimo uporczywego wysiłku umysłu, nie mógł za grosz przypomnieć sobie ich treści.

Nie zdecydował się, aby usiąść przy stoliku pod oknem, bo raz, że musiałby się do niego przeciskać między fotelem a kanapą, a dwa, że stolik zawalony był jakimiś naczyniami, których nie chciało mu się sprzątać. W ogóle niczego mu się nie chciało, tylko trochę tego listu, a że i na to w każdej chwili mogło mu zabraknąć ochoty, to – ledwo nałożywszy nogę na nogę – a na nią egzemplarz „Newsweeka”, a na nim kartkę wyrwaną z zeszytu w kratkę, zaczął pisać:

*Kochany Panie Boże,*

*Zwracam się do Ciebie, Boże, z prośbą o nawiązanie bliższego kontaktu, bo jestem samotny, bardzo samotny. Gdy dawno, bardzo dawno temu poskarżyłem się przypadkowo spotkanemu w pociągu księdzu, że samotność to największy ciężar w życiu księdza katolickiego, to ten – oburzony – krzyknął na cały przedział, aż zrobiło mi się wstyd, bo nie byliśmy sami: „Co ksiądz wygaduje! Ksiądz nie jest nigdy samotny, bo rozmawia z Panem Bogiem, a jeżeli nie jest grzeszny, to nawet z nim obcuje”.*

*Wstyd było również z tego „obcowania”, bo nie wiedziałem jak na to, dwuznaczne przecież słowo, zareagują współpasażerowie, a raczej współpasażerski, gdyż w przedziale były tylko kobiety, w ogóle dziś kobiety są bardziej aktywne, także w podróżach, lecz nie odnotowałem na ich twarzach jakiegos zaskoczenia czy zniesmaczenia. Prawdopodobnie dziś ludzie, a na pewno już kobiety, takiego słowa nie znają, a szczególnie jego wielu znaczeń.*

*W każdym razie pozwól, Panie Boże, że będę z Tobą rozmawiał poprzez listy, bo wtedy jakoś bardziej ta moja mowa mi się klei niż w czasie modlitwy, która, jak uczono nas w seminarium, jest przeżyciem mistycznym, a nie rozmową. Poza tym zawsze miałem kłopoty z wypowiedzaniem się – to chyba przez tą starszą siostrę, która wciąż na mnie wrzeszczała i przez matkę, która nie pozwalała mi dojść do głosu. A ja chcę z Tobą, Panie Boże, jak człowiek z człowiekiem rozmawiać, w końcu stworzyłeś nas na Swój obraz i podobieństwo.*

*Z głębokim szacunkiem*

X. Henryk

Ksiądz Henryk kilka razy przeczytał ten list, poprawił ciężar na ciężar, choć wiedział, że Pan Bóg na pewno nie zwraca uwagi na takie drobiazgi jak ortografia, zmiął kartkę i rzucił ją w róg pokoju, bo Pan Bóg przecież jest wszędzie.

Po kilku miesiącach cały jego pokój, a także częściowo korytarzyk z aneksem kuchennym pełen był walających się po podłodze zmiętych papierowych kulek. Przechodząc odgarniał je nogą, bo wyrzucić listy do Pana Boga? ...Nie, tego nie można, chociaż, chociaż... Co robią Żydzi z tymi świstkami papieru wciskanymi w szczeliny między kamiennymi ciosami tworzącymi Ścianę Płaczu w Jerozolimie? Co robią, to robią, ale to są Żydzi, mówi się nawet, że Żydzi nie mają duszy. On w to

nie wierzy, ale Żydzi to są Żydzi...

Kolega z seminarium poradził, aby w korytarzyku ustawił karton na listy i wyniósł wreszcie na śmierci stojący tam, cholerny ekspres do kawy. Nieczynny, bo włoży do niego prusaki, mechanizm się zatarł. Kiedyś laziły po całym mieszkaniu, teraz już nie, bo wspólnota mieszkaniowa uwzięła się i robiła dezynsekcję za dezynsekcją, od czasu do czasu wyłączając z jej opłacania księdza Henryka.

– Proszę uwierzyć księdzu katolickiemu, proszę uwierzyć, nie mam – mówił, ostentacyjnie wyciągając na zewnątrz kieszenie spodni, z których od czasu do czasu wylatywały jakieś paprochy, najczęściej strzępy chusteczek higienicznych, bo ksiądz Henryk cierpiał na notoryczny katar.

– A w marynarce? – zapytała wiceprzewodnicząca wspólnoty.

Wiceprzewodnicząca, zabierając głos, rozsiała się wygodniej, mieszcząc swój okazały zad w szerokim, dla niej tylko przygotowanym krześle z giętymi na gorąco podłokietnikami, znalezionym na śmietniku, ale wyczyszczonym, i, jakby biorąc się do bójki, podwijając rękawy różowej bluzeczki, odsłaniając upstrzone brązowo-rudawymi piegami przedramiona

– Przestań, pani! – zganił ją przewodniczący, wysoki czarnowłosy facet w okularach, od którego biło jakieś, choć nie ponure, raczej radosne, dostojeństwo. – Przecież pani widzi, że ksiądz przyszedł w swetrze – przewodniczący uśmiechnął się do księdza Henryka, w poczuciu męskiej solidarności, zauważywszy to jego odwrócenie wzroku od tłustego i piegowatego przedramienia wiceprzewodniczącej.

Ksiądz Henryk docenił ten subtelny żart, choć mogło być bardziej złośliwie: „specjalnie przyszedł w swetrze” i się uśmiechnął. Przewodniczący też odpowiedział uśmiechem i inni członkowie wspólnoty mieszkaniowej również, a było ich nieco więcej niż zawsze, bo na takie spotkania zazwyczaj się nie przychodzi. To było wyjątkowe, bo o karaluchach, które dręczyły blok jeszcze w czasach spółdzielczych.

– Komuna nie dała sobie z nimi rady, ale my damy! – czarnowłosy przewodniczący był pełen optymizmu i ten optymizm udzielał się wszystkim, nawet tej zrędlivej wiceprzewodniczącej w wielkich okularach o różowych oprawkach, dziwnie kontrastujących z równo, jakby jakaś brona jej po twarzy przejechała, pomarszczoną od nadmiaru kosmetyków skórą.

– Wszystkie kremy do skóry to jest jedno wielkie oszustwo. Działają na chwilę, a potem ich negatywne skutki kumulują się – chciał powiedzieć ksiądz Henryk, ale zbyt dobrze mu tu było między ludźmi, więc nie chciał psuć tej atmosfery. Następne spotkanie będzie dopiero po wakacjach, a wakacje w przypadkach wspólnoty mieszkaniowej kończą się w październiku czy listopadzie.

Co do tego czasu? Z kim rozmawiać, do kogo pójść, zadzwonić? Jeden profesor seminarium to za mało. Przez te trzydzieści lat nieobecności w Polsce, wszystkie nitki i sieci tu się porwały, a nowych w tym obecnym świecie

rozwichrzenia i rozbiegania nie sposób było zawiązać. A poza tym na bazie jakiej treści? Jakiego działania? W Kościele wystali go na emeryturę, siostra zasłaniała się odległością i chorobą.

– Że też coś mnie podkuśliło do Amazonii uciekać – myślał smętnie na głos ksiądz Henryk. – A jeżeli już trzeba było uciekać, to trzeba też było tam zostać. Trzeba to jednak nie znaczy, że można, bo raz, że te pasożyty, które w niego włożyły, trzeba było przepędzić, dwa, że tamtejszy biskup coraz bardziej się na niego krzywił. Za co? Że był dobry dla ludzi, że nie wrzeszczał jak inni misjonarze na kobiety, które półnagie do kościoła przychodziły? Przecież Pan Bóg nie stworzył kobiety z biustonoszem i w bluzce szczelnie zapiętej pod szyją...

– Widać, że było ci tam dobrze... Dlaczego tam pojechałeś? Uciekłeś? – dopytywał się *Semper Fidelis*.

– I tak i nie. Po tym wszystkim wzięłem do ręki jakiś poradnik psychologiczny, w którym wyczytałem, że ludziom najtrudniej przebaczyć to, co sami zrobili. Szczególnie, gdy już nie da się błędu naprawić. To są sprawy, które wywołują w nas silne emocje. Trzeba pozwolić im wybrzmieć, a gdy to już się stanie, trzeba zacząć sklejać to, co rozbite.

– I skleciłeś?

– Raczej tak. Inny świat, inne życie, nowe wezwania, niełatwe przecież, bo tam nie ma żadnej cywilizacji. Ale to było moje życie. Odzyskałem nad nim kontrolę.

– To dlaczego wróciłeś?

– Matka prosiła, błagała, wysyłała listy pisane atramentem, specjalnie atramentem, aby widać było ślady łez. Kobiety mają takie swoje sposoby. Ona nawet nie ukrywała tego, przywołując Tetmajera z tym jego „Piszę do ciebie, a piszący płacze”.

– Kobieta. Znowu kobieta. Widać to twoja słabość – próbował zażartować przyjaciel.

– Chyba tak. Ale to matka...

– I znowu straciłeś kontrolę nad własnym życiem.

– Matka... To przecież była matka...

– To tak u księży jest. Najpierw rodzona matka, potem Matka Boska, wreszcie Matka – Kościół.

– Kościół mnie nie chce – zajączył ksiądz Henryk.

– Bo już nie ma Kościoła. Tego prawdziwego, miłosiernego, wybaczącego, liczącego pieniądze, a nie wyrachowanego. Teraz parafie to są małe przedsiębiorstwa, a ty żadnej parafii pieniędzy nie przysporzysz. Stary jesteś i z garbem.

– Z księżmi jakoś można wytrzymać, choć nie z wszystkimi, ale z ludźmi... – próbował zasnąć trochę optymizmu ksiądz Henryk.

– Ludzie to też Kościół – zbanalizował, bo fundament eklezjologii są przecież truzmy, profesor seminarium.

– Jacy to ludzie! – zachnął się ksiądz Henryk, myśląc o tych, którzy go dziobali.

– To oni są przede wszystkim Kościołem.

– Ale bez nas, bez księży nie byłiby Kościołem.

– Przesadzasz. Chrystus powiedział, że gdzie dwóch, trzech zbierze się w imię Moje, tam i ja jestem. To jest Kościół. Wszędzie może być... – wykladał *Semper Fidelis*, profesor seminarium, przesuując nogą mechanicznie raz w jedną, raz w drugą stronę walające się po podłodze listy do Pana Boga. ❖

Stefan Pastuszewski

## Ludzie wiersze piszą...

– *Ludzie listy piszą...* – śpiewali kiedyś „Skaldowie” kreśląc błogosławioną i kolorową wręcz atmosferę wypowiedzianą/opowiadania się ludzi słowem kierowanym do drugiego człowieka. Technika i technologia, też będąca wytworem człowieka, ale już mająca w sobie diaboliczny mechanizm samonakręcania się, rozbiła ten sielankowy świat, wprowadzając w miejsce listów komunikaty elektroniczne, w tym także obrazkowe. Ale natury ludzkiej nie da się tak łatwo na stałe zamknąć w elektronicznej klatce. Irmina Kosmała odkryła to, pisząc:

„Odnoszę wrażenie, że poezja znów powraca do łask. Skoro w dobie pędzącego czasu, spłyconego oddechu ogołoconych z przymiotników zdań posyłanych w krótkich wiadomościach do siebie, nie mamy czasu na długą lekturę, najlepszym rozwiązaniem może okazać się właśnie poezja. Chcemy nazwania własnych splątanych myśli, rozdzielania ich, nawet jeśli dokonuje się to nie w stonowanym i podniosłym języku poetów klasycystów, ale w pozornie poszarpanej myśli brutalistów

i nowych barbarzyńców lub języka nowej poetyckiej codzienności. Objawia się nam zatem pierwszy cel poezji: czytać, aby siebie poznać. By rozróżnić w sobie to, co ciemne, mroczne, nieprzystające. Czytać, by zrozumieć swoje myśli i emocje. Czytać, by zgadzać się lub nie na odkryty wyimek czy jego świat, czyjejś wrażliwości” („Akant” 2024, nr 12, s. 39).

To właściwie ona, a nie Andrzej Cieślak, rozpoczęła dyskusję o masowym wysypie wierszy, w tym oczywiście poetyckich, bo przecież nie każda ufrizonowana na wiersz wypowiedź jest poezją. Nie zadała jednak pytania, co z tym wysypem zrobić, **gdzie jest granica między piśmiennictwem, w tym elektronicznym, a literaturą?** Pytanie takie między wierszami postawił A. Cieślak, wyodrębniając kategorię  *powszechniej literatury terapeutycznej*. Nie ulega wątpliwości, że masowo pisane i publikowane wiersze zastępują listy. Tylko, że tamte pisane były do konkretnego adresata i nie miały aspiracji podobania

## Dyskusja redakcyjna

się publicznie, bo na pewno adresatowi tak. Wiersze-listy są często dramatyczną próbą wołania o zauważenie danej osoby czy danego zjawiska, problemu. Czy to radosnego czy smutnego. Wiszą w gęstej próżni innych wierszy i bezradnie, rozpaczliwie machają nóżkami niczym garść biedronek złapanych do słoika, a potem wyrzuconych na piasek tak, aby leżały na pleckach.

Jest to syndrom naszego czasu, czyli samotność w tłumie. – *Ludzie zejdźcie z drogi, bo listonosz jedzie...* – śpiewali kiedyś „Skaldowie”, a teraz zewsząd rozbrzmiewa błaganie:

– *Ludzie, przeczytajcie ten wiersz, bo tonę w anonimowości, masie i niezrozumieniu.*

Może ktoś, wiosłujący w internetowej brei, zwanej przez Stanisława Chyczyńskiego *grzebarką*, i przeczyta, ale zaraz też przeczyta kolejny wiersz, i kolejny, a to jakby nie przeczytał, czyli nie zauważył. Bo anonimowość i masa dotyka nas wszystkich, i piszących, i czytających. ❖

Antonina Sebesta

## Granice literatury

Próbę rozszerzenia granic literatury pięknej należy moim zdaniem przyrównać do wycieczki górskiej podjętej przy najwyższym zagrożeniu lawinowym. Jest desperacka, wynika jednak z fatalnej kondycji ekonomicznej środowiska literackiego, zwłaszcza osób zrzeszonych w ZLP w którym przeważają seniorzy, mający ograniczone możliwości zarobienia choćby z uwagi na niesprawności, utrudnioną mobilność a czasem nawet wykluczenie cyfrowe. Oferowanie warsztatów, recenzji, praca jurora to często jedyna możliwość finansowania własnej pisaniny, a przede wszystkim jej reklama i sposób na zdobycie czytelnika, który zakupi publikację swojego mistrza.

Panuje moda na wszelkiego typu warsztaty. Odpowiednio zareklamowane i przeprowadzane cieszą się powodzeniem, przykład „Peron Literacki” organizowany w ramach Biblioteki Kraków. Proszę zauważyć, iż Koła Młodych zmieniają nazwy na adekwatniejsze np. Otwarte Koło Autorów. Młodzi stronią od zrzeszania się w związkach, słusznie twierdząc, iż mają one znaczenie wyłącznie towarzyskie. Fakt ten wpływa na rozpaczliwe poszukiwania osób zainteresowanych członkostwem. Złośliwi twierdzą, że więcej osób pisze wiersze niż je czyta...

Rynek kocha bestsellery czyli to co się dobrze sprzedaje: kryminały, fantastykę, horror, książki o celebrytach.

Piszący (zwłaszcza wiersze) dopłaca do swojej zabawy w poetę, tomiki (nakład 300 egz.) lub mniejszy najczęściej wymienia się z piszącymi kolegami, roz-

daje rodzinie i przyjaciołom. Ci ostatni najczęściej są mocno zakłopotani, nie wiedzą jak reagować na tak kłopotliwy prezent. Sprzedaż podczas promocji to kilkanaście sztuk. W moim regionie już dawno spotkania autorskie w placówkach publicznych (biblioteki, domy kultury, muzea) przestały być płatne. A to co nie jest płatne, zgodnie z prawami gospodarki rynkowej, nie jest nie tylko szanowane ale nawet dostrzegane.

Terapeutyczną rolę pisania propagował w naszym kręgu kulturowym już Arystoteles, kładąc jednak nacisk na odbiór. Nie trzeba być psychologiem czy psychoterapeutą aby zauważyć, iż przez wieki prowadzenie korespondencji, pisanie dzienników, pamiętników czy w późniejszym wieku wspomnień, stanowiło rodzaj lekarstwa. Po upływie czasu prace te stają się źródłem często cennej informacji, dokumentem historycznym ale nie literaturą! Fundacja Anny Dymnej i Fundacja Sztuki Osób Niepełnosprawnych organizują konkursy adresowane specjalnie dla tych, których twórczość spełnia przede wszystkim terapeutyczną rolę.

To miłe, że pan Andrzej Cieślak deklaruje się jako krytyk o cechach opiekuna spolegliwego, zachęcanie do doskonalenia własnego warsztatu chyba każdemu się przyda. Odrzucanie, a już zwłaszcza przyczepianie etykiety grafomana z całą pewnością nikogo nie uszczęśliwi. Pamiętajmy jednak - Wisława Szymborska i Włodzimierz Maciąg w poczcie literackiej na łamach tygodnika „Życie Literackie” w nieprawdopodobnie taktowny sposób

zniechęcali do tworzenia. Uważam, że krytykować należy produkt ale nie jego wytwórcę. W wywiadzie udzielonym przez Ishbel Szatrąwską ( „Znak”, styczeń 2025 nr 836 s. 108) przeczytałam: *Jasne, że czytanie opinii, a zwłaszcza recenzji bardzo korci, szczególnie jeśli są one pozytywne. Ale te negatywne i złośliwe tylko zatrzymują cię w miejscu lub cię zablokują. No cóż, danie szansy czasem uskrzydla, reguł nie ma.* ❖

### A może by tak wskrzesić arkusze poetycki

Jako integralną część **Ogólnopolskiego Miesięcznika AKANT, wydanie papierowe**. Dostępny w rozpowszechnianiu wg klucza wydawnictw obowiązkowych w obiegu bibliotecznym.

Niestety arkusze byłyby płatny, ale symbolicznie. Redakcja Jolanta Baziak.

Poniżej proponuję zapoznać się z cytatem, który polecam.

*Osiąganie poszczególnych szczebli wiąże się z nobilitacją artysty słowa. Trwalsze uznanie dla twórców poezji z pominięciem publikacji utworów w formie książkowej jest praktycznie niemożliwe. Jeżeli istnieją tacy twórcy, którzy poszukują rezonansu dla swojej poezji, poprzez upowszechnianie jej jedynie w formie ustnych recytacji, melorecytacji, odczytów (współcześnie tzw. performance), to ich kontestacja rynku książki ma jednak dość ograniczony żywot. O ile twórczość wspomnianych „kontestatorów” okaże się znacząca, wkrótce po ich śmierci ktoś zechce zebrać spuściznę, opracować krytycznie i opublikować jako „dzieła wszystkie”. Obserwacja reguł funkcjonowania literatury pokazuje, że publikowanie utworów jest niemalże tak ważne jak ich tworzenie.*

Jacek Ladorucki. *Książka poetycka jako zagadnienie badawcze: zarys problematyki Acta Universitatis Lodzianis Folia Librorum-r2005-t12-s51-68.pdf*



## O literaturze i jej granicach słów kilka



### Granice poezji

Wydaje się, że najważniejszą rolę w życiu człowieka odgrywają głównie dwie nauki: matematyka i język ojczysty z literaturą, rozumianą jako jego integralna część. O ile matematyka jest dziedziną konkretną, konsekwentną, uporządkowaną, logiczną, a rozwiązanie matematycznego zadania ma tylko jedną prawidłową odpowiedź, o tyle w literaturze już tak nie jest, a jednoznaczne doprecyzowanie jej definicji i wyznaczenie granic napotyka trudności i rozbieżności natury subiektywnej.

Etymologia słowa literatura wywodzi się od łacińskiego *litteratura*, co oznacza pismo lub pisanie. Zgodnie z definicją zawartą w Encyklopedii PWN - literatura, to *ogół wypowiedzi utrwalonych w piśmie, związanych funkcjonalnie z różnymi zakresami życia zbiorowego*. Od drugiej połowy XVIII wieku operuje się pojęciem literatury pięknej w odróżnieniu od literatury stosowanej. Według prof. Stefanii Skwarczyńskiej – literatura, to wszystkie sensowne twory słowne, czyli dzieła artystyczne (literatura piękna) oraz teksty użytkowe (literatura stosowana), zachowane w formie pisemnej lub w przekazie ustnym.

Osobiście uważam, że literatura w odróżnieniu np. od malarstwa czy muzyki, to sztuka słowa, czy ściślej rzecz ujmując – kombinacji słów. Słów celowo użytych, utrwalonych w przekazach ustnych lub na piśmie albo na nośnikach danych. Dodat-

kowym wyróżnikiem literatury niewątpliwie jest jej wartość artystyczna.

Pewną trudnością pojawiającą się już na gruncie definicji, jest subiektywizm opinii i ocen. Na przykład, co innego będzie uznawane za wartość artystyczną przez jedną osobę lub grupę osób, a co innego będzie tą wartością dla kogoś innego.

Często skłaniamy się ku twierdzeniu, że utwory grafomańskie, o niskiej wartości artystycznej, nie powinny zaliczać się do literatury. Osobiście mam takie wewnętrzne przekonanie, ale nie pewność. Napotykamy tu bowiem na kolejny problem natury subiektywnej oceny. Co uważamy za grafomanię albo za niską wartość artystyczną? Ponadto, jeżeli takich utworów nie zakwalifikujemy do literatury, to w jakiej innej grupie należy je umieścić, jeśli przyjmiemy, że nie pasują ani do literatury pięknej, ani do stosowanej? Nie mniej jednak, ze względu na formę, nadal są to twory literackie – np. wiersze, opowiadania, powieści. Zatem, stosując metodę wykluczenia podczas ewentualnej kwalifikacji do innych dziedzin, wychodzi nam ostatecznie, że jest to jednak literatura i możemy się z tym zgadzać lub nie.

Podobne dylematy powstają przy próbie zakwalifikowania do literatury utworów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. Z jednej strony utwory te nie powstały wyłącznie dzięki wyobraźni i kreatywności ludzkiego umysłu, warsztatowej pracy nad precyzyjnym doбором i zestawieniem słów. Z drugiej strony – sztuczna inteligencja nie jest bytem samodzielnym. Jest tylko narzędziem wykorzystywanym przez człowieka, jak pióro, długopis czy komputer. Sztuczna inteligencja sama z siebie nie napisze utworu literackiego. To człowiek musi podać wstępne dane, uszczegółowić je, określić formę, styl, nazwać emocje,

jakie mają się pojawić w tekście. Im więcej danych, tym lepszy tekst zostanie w taki sztuczny sposób wygenerowany. Czy taki tekst można zaliczyć do literatury? Sądzę, że tak, przyjmując wcześniejsze założenie, że sztuczna inteligencja, to tylko narzędzie, jakim posługuje się człowiek w swej twórczości.

Kolejnym zagadnieniem są granice w literaturze. Można je stawiać w zależności od zastosowanych kryteriów np. terytorialnych, językowych, tematycznych, artystycznych, historycznych, formalnych, moralnych itd.

Sądzę, że wyznaczanie barier w zakresie poruszanej w utworach tematyki lub użycia słów (np. wulgaryzmów) nie ma w literaturze głębszego sensu. To nic innego jak kolejne normy i zasady, na które trzeba się zgodzić, umówić się co do ich przestrzegania. Mam nadzieję, że w tym zakresie literatura obroni się sama w konfrontacji tekstu z czytelnikiem.

Tendencją powszechną we współczesnym świecie staje się ambiwalentny stosunek do pojmowania rzeczywistości, relatywizm, skłonność do przesuwania ustalonych wcześniej granic, podważania definicji, nieuznawania autorytetów. Zachłystnięcie się nieograniczoną wolnością bez norm i zasad, bez granic i autorytetów prowadzi niestety do chaosu. Wszelkie wartości, w tym artystyczne, coraz częściej zależą od indywidualnej oceny. W rzeczywistości opartej na egocentryzmie, jedynym słusznym stwierdzeniem, nie pozostającym w sprzeczności wobec samego siebie, wydaje się pogląd, że pojęcie literatury jest zależne od przyjętych lub utworzonych własnych definicji. Granice literatury są natomiast tam, gdzie sami je postawimy, w zależności od przyjętych założeń i indywidualnej wrażliwości. ♦

### Instytut Wydawniczy „Świadectwo”

#### oferuje usługi edytorskie

w zakresie:

- redagowanie,
- korekta,
- opracowanie graficzne,
- skład komputerowy,
- druk

**książek** (literatura, dzienniki, opracowania naukowe, publikacje jubileuszowe itp.) oraz

**innych tekstów** literackich, publicystycznych, naukowych i urzędowych

85-010 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 62/1  
tel. 052 321 33 71  
e-mail: akant24@wp.pl

[www.akant.org](http://www.akant.org)

#### Piotr Chruściel

#### Czegoś nam zawsze brak, kogoś czasem 9

Boże mój, o północy matka, w strojnej, kwiecistej sukience,  
dostaje skrzydła, gdzie Marcio Freire opadł z sił, zostawiając  
uschniętą różę, którą kładę pod zdjęciem  
z napisem Legends never die. To na obrzeżach zejścia,  
od roku pusto, wiatr zmiata ludzi.

26,6 - szczyt możliwości, Marcio. 36.6 - to norma.

Mad Dogs - moje psy, szczekają na sąsiada, szczerząc kły.

Mad Dogs - moje koty, wściekle na afrykańską mysz.

Ja - zakochany w sztucznych falach. Komu jestem winien  
dwieście złotych? Komu różę?

Komu znicz?

Marcio, przeszliśmy na ty miesiąc wcześniej. I, Boże mój,  
ty, półbóg nadal serfujesz. Z matką.

Oboje macie skrzydła. Ja –

przyjemny - boję się wielkiej fali. Tam, 200 m dalej, ciastka  
z pistacją. Nikt nie zna herbaty w chłodne popołudnie.

## **Ewa Kłobuch**

### **Zmiany**

---

powietrze którym oddycham pełne jest napięcia  
na co czekamy milcząc po złości  
tak bardzo osobni jak tylko się da

to wolność  
o którą walczyliśmy zdradziła nas  
zabierając ze sobą wszystkie obietnice

jest tylko więcej miejsca  
i cisza gra  
nie słyszałam jej kiedy byłęś

słowa schodziły jak lawiny  
za nami po schodach  
piętro po piętrze  
gubiła je dopiero ulica

lawina zatrzymywała się na drzwiach  
i trzeba było odkopywać stopnie  
do ich naturalnego stukotu

skrzypienia  
gdy w pośpiechu  
na zmianę przynosiliśmy treść  
tak żeby sens  
mógł się zdefiniować

miałam w sobie wtedy ptaki  
niesione przez wiatr  
różowiwały od zachodu  
noc kradła im cienie

dziś spadnie grad  
i poręczy wspartej o moją dłoń  
przyjdzie otrząsać się z kamieni

### **Krzysztof T.Konecki**

#### **Twoje oczy**

---

Oczy Twoje przenikliwe  
Gorące

Ktoś  
Może Vesuvio  
Pluje śliną  
Purpurową  
Płacze łzą  
Zieloną

Spada na moją  
I Twoją skórę  
Popiołem  
Już zabieloną

Parzy  
Ontologia dotyku

Karły niesione  
Fala drugą  
Trzecią  
Topią się razem  
Oczy zamknięte

Zachłyst ostatni

## **Dorota Szawdzianiec**

### **Niepamięć**

---

Wszystkie ścieżki  
jakie latami wydeptywałam  
z łóżka wprost do nieba  
zaprowadziły mnie donikąd.

Teraz w spazmach wciągam je  
nosem co wieczór  
by zatrzeć ślady pielgrzymowania  
i dryfuję bezbożna.

## **Paweł Wacek**

### **Nieistotne**

---

Pada i końca nie widać  
Dłonie pamiętają przedmioty  
Ciało pamięta czynności  
wilgoć zaciera ciągłości  
Nawet nie wiem kto wysprzątał  
Wszystkie twoje rzeczy  
Przeszłość jest czarno-białą fotografią  
Na której już niewiele widać  
Mówią, że bym uczył się żyć bez internetu  
Nie warto znać wszystkich opinii

## **Grzegorz Borowiec**

\* \* \*

---

Wolno leci woda  
przez Ciebie dla Ciebie  
do zlewu na kafelki  
w sposób kontrolowany  
trzymam nasze ciała  
jeszcze jeszcze jeszcze  
do całkowitego wyczerpania

## **Laura Alszner**

### **Bling bling - iluminacja**

---

trochę tu ekskluzywnie  
mówi patrząc na kryształowe żyrandole  
w kolorowym szkieleku dostrzega kosmos

droga mlekiem i miodem płynąca  
z ust do ust  
fuksjowa szminka odbita na łyżeczce

gdyby tak zerwać gwiazdę i possać  
czy wybuchnie jak supernowa  
czy brokat z jego języka  
załśni na kulistym kształcie  
globu

jedno jest pewne  
rozwieżdzi się spojrzenie  
ciało przestanie być niebieskie  
i zagubione dłonie znajdą ukojenie

pełne jak nigdy wcześniej

## **Grzegorz Legawski**

### **Póloty pólprzytomny**

---

Spać  
spać do ognia  
w miękkich dłoniach  
w ciepłych korytarzach twoich  
gdzie ciało prawdziwe  
nad nim niebo czyste  
jak pierwszy płatek  
śniegu i ostania  
łza

Śnić  
jeśli śnić  
to tylko przytomnie  
rozszczeptać twarz lęku  
na jawnej ścianie  
bladego świtu

Budzić się  
nie budzić się nigdy  
z przymusu czy z chęci  
budzić się z potrzeby  
z potrzeby myślenia  
o snach

## **Dariusz Filinger**

### **Czerwone i czarne**

---

Demaskatorzy szarych nisz i stref  
pozostają w cieniu  
niewidzialnych światów

Noc jest pierwsza  
bo i tak nie mogę zdążyć do dnia  
poprzez zwodzony most

Wodzący za rękę  
zwodzący na manowce są tu  
gdzie nie leci manna obiecana

Pora na poranny jogging  
i radosne wymachy rąk  
i niebieskie pigułki o zakazanym  
działaniu

## **Szymon Florczyk**

### **Przepisana fotografia**

---

to właśnie definicja tego (a może każdego)  
wiersza. Do dyspozycji mam przerzutnię  
wrażenia ciągłości w chaosie i, oczywiście  
(kiedy się pożegnałaś – na lotnisku czy wcale?),  
życia. Zamykam w ramę ze strof.

Ważny jest rytm i adekwatne brzmienie (jasne  
włosy, związane w okrąg, pachną odlotem),  
żeby oddać zmysłowy rdzeń chwili (na ile  
tamtej, a może tutejszego teraz?), więc piszę  
i piszę, nie mogąc dogonić sensu  
brnięcia do puenty po słownych zaspach,

dokąd uciekasz?

Christian M. Manteuffel

## Impresje polskie w niemieckim krajobrazie literackim (1)

## Fryderyk Chopin; na postoju w Stuttgarcie

Ach, te nasze eksodusy do kraju, do którego mamy niekończące się żale! A jednak. Najprzeróżniejsze ślady pozostają potem w kronikach miast niemieckich, w przekazach rodzinnych, często w nazwiskach, choć po latach zmienionych, zniekształconych; Błędowski stał Bledowskim, Śliwka jest teraz Sliwka. Nawet w wymowie niemieckiej nie domyślisz się już polskiego brzmienia. Erwin Kowal nie ma pojęcia, że nosi to samo nazwisko co jego sąsiad Hans Schmied, ani że ich przodkowie należeli do tego samego cechu. Przodek mojego przyjaciela nazywał się Kocioł, a pisze swoje nazwisko dzisiaj w Niemczech: Koziol – bliżej kozła niż kotła. Dziś nikt już nie dojdzie kiedy przybysze z tymi nazwiskami znaleźli się po zachodniej stronie Odry. Ta refleksja zatrzymała mnie przy niemal anegdotycznej, a jednak prawdziwej historii, jaką przytoczył Karl Dedecius w swoim esejku *Überall ist Polen*, omawiającym książkę Marcela Reicha-Ranickiego *16 polnische Erzähler*. Działo się to w roku 1832, gdy po upadku Powstania Listopadowego Polacy szukali schronienia w krajach zachodniej Europy. Mieszkająca we Frankfurcie nad Menem przyjaciółka Wolfganga Goethego, Suleika<sup>1</sup>, donosiła mu w liście: (...) *Halb Frankfurt ist ganz verrückt wegen dieser Polen. Du würdest die Stadt nicht wiedererkennen.* (...)

Co takiego wydarzyło się tam wtedy, że połowa Frankfurtu była tak zwariowana na punkcie Polaków, że Goethe *nie mógłby miasta rozpoznać*? Na ulicach było głośno od polskich zgrupowań i śpiewów patriotycznych *der Feinden des russischen Imperium*. Entuzjazm udzielił się frankfurtczykom. Rada miasta przyznała jednogłośnie 30 000 marek na wsparcie polskich uchodźców. A że działo się to we Frankfurcie nad Menem, gdzie flaga miasta jest identyczna jak polska, natomiast biały orzeł w koronie, prawie identyczny, miasto wyglądało rzeczywiście na opanowane przez Polaków.

Solidarność z Polską była wówczas w Europie powszechna. W Londynie powstało stowarzyszenie literackie „The Literary Association of the Friends of Poland”. W Paryżu, w Playel-Saal, Fryderyk Chopin wzruszał sympatyków Polski swoimi polonezami i mazurkami. W Rzymie proboszcz Félicité Robert de Lamennais skomponował hymn „A' la Pologne”. Ryszard Wagner skomponował swoją młodzieńczą uwerturę „Polonia”. Jeszcze w roku 18622 Giuseppe Garibaldi deklarował gotowość walki za Polskę zapewniając młodych polskich emigrantów przebywających na Szwabii, w Heidelbergu: „*Wzniosę jeszcze swoje ramię dla obrony wolności Polski!*”.

W roku 1862 (lub początek 1863 – *sic!*), przebywający też na emigracji w Lipsku, Cyprian Kamil Norwid, napisał wiersz „Fortepian Szopena”. Muzyka Chopina była inspiracją dla poetów polskich w latach walki i okupacji.<sup>3</sup> Jak ogromna była jej siła zdali sobie szybko sprawę okupanci hitlerowscy,

burząc jego pomnik w roku 1940.

Fryderyk Chopin też znalazł się w Niemczech, lecz tylko przejazdem w swojej ostatniej podróży z rodzinnego domu do Paryża, we wrześniu 1831 roku. Wyjechał z Warszawy 2 listopada i jechał przez Wrocław, Wiedeń, Monachium i Stuttgart. W Wiedniu dotarła do niego wiadomość o wybuchu w Polsce powstania listopadowego. Stało się. Chciał wracać i bić się, jak wszyscy niemal koledzy. Siłą przymuszony przez najwierniejszego przyjaciela, Tytusa Wojciechowskiego pozostał, ale zmienił się nie do poznania. W takim stanie dotarł do Stuttgartu. Sięgnął po pióro. Lecz tym razem nie chodziło o zapis nut; zapisywał dzień po dniu swoje odczucia.

Tak, tak to było...

O jego „*dzienniku studgardzkim*”, (tak Fryderyk zapisywał nazwę tego miasta), dowiedziałem się po raz pierwszy od Blanki, gdy zadamowiłem się już wśród innych emigrantów w gościnnym hoteliku na rogatkach miasta. Hotelik nazywał się: „*Gasthaus an der Scheidewegen*“, my nazywaliśmy ten nasz dom na obcej ziemi po polsku krótko: „*Gospoda na rozdrożu*”. To było rzeczywiście rozdroże przy uliczce wybierającej się do miasta, co już było dość symboliczne dla naszej sytuacji, a na dodatek na rogu Chopinstraße. Na końcu ulicy Chopina był już tylko widok na porośnięte gęsto bukami Wzgórza Szwabskie.

O stuttgartckim dzienniku Chopina, znanym już na świecie, w Polsce peerelowskiej było cicho; w PRL cenzura była łaskawa dla nut naszego wielkiego muzyka, jednak słowa, jak wszelkie inne, podlegały cenzurze. Chopin sam skomentował krótko wyrażony przez kogoś zachwyt dla jego zapisów: „*Chciałem tylko napisać i zostawić abecadło tego, co naprawdę polskie, a nauczyć odrzucać polskość fałszywą*”. Blanka miała angielskojęzyczne wydanie książki zatytułowanej *Chopin*<sup>4</sup>.

„(...) *O Boże, jesteś ty! - Jesteś i nie mścisz się! - Czy jeszcze ci nie dość zbrodni moskiewskich - albo - alboś sam Moskał! - Mój biedny Ojciec! - Mój pocziwiec, może głodny, nie ma za co matce chleba kupić! - Może siostry moje uległy wściekłości rozhukanego tajdactwa moskiewskiego! Paszkiewicz, jeden psiak z Mohylewa, dobywa siedziby pierwszych monarchów Europy?! Moskał panem świata? (...)* - *O Ojczy, takież to przyjemności na twoje stare lata! - Matko, cierpiąca, tkliva matko, przeżyłaś córkę, żeby się doczekać jak Moskał po jej kościach wpadnie gnębić (...)* was. *Ach, Powązki! Grób jej szanowali? Zdeptany - tysiąc innych trupów przywalilo mogiłę. Spalili miasto!! - Ach, czemuż choć jednego Moskala zabić nie mogłem! (...)*”

Proszę się nie dziwić i nie gorszyć, że cytuję ten fragment dziennika Chopina. Nie przemawia tutaj przeze mnie antagonizm do narodu rosyjskiego. Jak i nie odczuwam antagonizmu do narodu niemieckiego. Wśród tych narodów wyrosły piękne gaje kultury owocujące odrębnymi, a jakże pięknymi dziełami w literaturze, muzyce i sztuce. Narody obu tych krajów, choć ich władcy

rozrywali Polskę, udzielali w tym samym czasie azylu polskim poetom, intelektualistom i politykom. Ale przed moimi oczami trwa do dziś obraz roku 1956 i ciągnące obok katedry wrocławskiej na Warszawę kolumny wojsk z czerwoną gwiazdą. Staliśmy z moją dziewczyną przy wyjściu z parku milcząc. Oboje mieliśmy w pamięci minioną wojnę, los naszych rodziców i nas, dzieci i byliśmy pełni obaw, że tym razem może być gorzej. Ogromne wrażenie zrobiły więc wówczas na mnie te zapiski Chopina, odległe o ponad sto lat od naszych retrospekcji...

„(...) *Czemuż żyjemy takim nędznym życiem, które nas pożera i na to nam służy, aby trupów robiło! - Zegary z wież studgardzkich nocną biją godzinę. Ach, ileż w tej chwili trupów się po świecie narobiło! Matki dzieciom, dzieci matkom poginęły - ile planów zniweczonych, ile smutku z trupów w tym momencie i ile pociechy. Iluż opiekunów niepocziwych, ileż uciśnionych istot trupami. Zły i dobry trup! - Cnota i zbrodnia jedno! (...)*”

Te zapiski, znane miłośnikom Fryderyka Chopina na świecie, ciągle jeszcze są mało znane w Polsce. Czyżby rzeczywiście chodziło o troskę dla uczuć przyjaźni między narodami Polski i Rosji? Te spontanicznie zapisywane myśli stworzyły wierny zapis stanu jego ducha, który do dziś ceniony jest jako dojrzała forma epicka...

„(...) *Raz tylko jeden ostona, którą Chopin okrywa swe uczucia i prawdziwe doznania - pisał Jarosław Iwaszkiewicz - pęka całkowicie. Uczucia te przerywają wszelkie tamy i wybuchają jak „wiosenne wody” - nie dzieje się to wszakże w listach przeznaczonych dla innych, ale w dzienniczku pisanym dla siebie. Mało jest dokumentów równie wstrząsających, równie ludzkich, jak tak zwany dziennik stuttgartski. Dokument ten - świadectwo bólu, rozpacz i żalu - ułatwia nam zrozumienie całej potęgi, całej wzniosłości sztuki Chopina. Tym bardziej ogarnia nas podziw, jaką siłą charakteru ostonił ten człowiek siłę namiętności trwożących go i miotających jego duszę... Wstydlivość uczuć... nadawała mu pozory chłodu w stosunkach towarzyskich, a nawet przyjacielskich. (...) Dla ludzi miał twarz chłodną i obojętną. Rodzinie zaś chciał okazywać tylko głębokie przywiązanie. (...)*”

Blanka była zafascynowana notatkami i uważała, że ten zapis miał posłużyć Chopinowi do stworzenia późniejszej „*Etiudy Rewolucyjnej*”. Sama zwierzała mi się, że chce napisać wariację w tonacji B-moll na temat tych zapisków. Pamiętam też, że kompozycja ta miała się nazywać „*Polonez Szwabski*”. Miała się tak nazywać...

- Wyobraźcie sobie, mieszkam tam, pod chmurami, gram Chopina, a muzyka niesie się nad tymi wzgórzami jak powiew znad Polski ... - zwierzała się kiedyś mając na myśli mieszkanie w pnącym się pod chmury wieżowcu u podnóża wyżyny.

Nawet nie było nam trudno wyobrazić to sobie, gdy słuchaliśmy jej gry: dźwięki poloneza nad zboczami wyżyny pokrytej złotymi liśćmi buków i świadomość odległości, jaka dzieliła nas od zupełnie innych krajobrazów malowanych pasażami z muzyki Chopina, które wyczarowywała Blanka.

\*

Tego dnia przyjechała do mnie Majka, moja piętnastoletnia córka. Tyko ona towarzyszyła mi w tej podróży w nieznane. (*patrz dokończenie na str. 28*)

## Impresje...

dokończenie ze str. 27

wiersz „Reportaż z drogi do nieistnienia”) Przed wyjazdem nie zdradziliśmy z Kamą naszych konspiracyjnych planów; wiedziała, że pewien znajomy przysłał zaproszenie, i że jest to nagroda dla niej za opanowanie języka niemieckiego, którego uczyła ją nasza dobra znajoma, tłumaczka i za pomysły egzaminów do ogólniaka. Prawdę dowiedziała się dopiero wtedy, gdy dostałem zgodę na pobyt. Teraz była daleko ode mnie, w internacie przy gimnazjum dla dzieci emigrantów i od czasu do czasu przyjeżdżała. Wiedziałem, że tęskniła za matką i starszym bratem, ale Kama i Paweł; byli jeszcze w Polsce i rzadko dostawaliśmy wiadomości od nich przez osoby trzecie. Ta nowa konspiracja była konieczna; nasz telefon domowy był na podsłuchu i nie mogliśmy zdradzić się z naszych planów. Kama złożyła już na milicji wniosek o wizę w celu odebrania córki, która została przeze mnie uprowadzona. Na pewno podtrzymywało Kamę na duchu to, że Majka jest bardzo dzielna. Majka była też wdzięczna Blance za pomoc w osiągnięciu nas tutaj. Obję zaprzyjaźniły się szybko.

Nigdy nie myślałem o wyemigrowaniu z Polski z przyczyn politycznych. Paradoksalnie taką możliwość podsunął mi oficer SB podczas przesłuchania tamtej nocy grudniowej 1981 roku, przypominając mi moją „niemieckość”. Matka miała wprawdzie w przedwojennych papierach narodowość niemiecką, ale obywatelstwo polskie. Mój dziadek wywodził się z spolszczonego rodu Manteufflów na Inflantach i po odzyskaniu niepodległości przez Polskę po rozbiorach, przybysze z zaboru pruskiego otrzymywali obywatelstwo polskie, ale narodowość niemiecką. Decyzja o wyjeździe do Niemiec powstała niespodziewanie kilka lat później, gdy okazało się, że moje serce wymagało poważnej operacji, a na taką w Polsce nie mogłem wówczas liczyć. Tylko jak wyjechać? Pewnie trzeba było skorzystać z tej *filantropijnej* propozycji towarzysza majora. Wyjechałem na zaproszenie, o które postarała się Blanka od nieznanego mi wtedy jeszcze właściciela hoteliku, gdzie była już zakwaterowana. Wtedy w Niemczech przebywało już wielu przyjaciół, którzy w wyniku swojego zaangażowania w organizacjach opozycyjnych, stracili pracę. Bez kłopotu dostałem skierowanie do „Gasthaus an der Scheidewegen”. Majka „zaopiekował się” Jugendamt, który skierował ją do internatu dla dzieci emigrantów, gdzie miała doszlifować język i przygotować się do nauki w gimnazjum. Byliśmy kilkuosobową grupą, bo Blanka załatwiła już wcześniej zaproszenia dla kilku innych kolegów. Była naszą *matką chrzestną*.

Właściciel tego hoteliku z gospodą oddał lokal do dyspozycji urzędu socjalnego, który z urzędu zajmował się emigrantami i zapewne dostał za to więcej, niż mógłby mieć od rzadko odwiedzających go gości. Mieliśmy z tego obiad i mieszkanie; wikt i opierunek. Dostaliśmy jeszcze po dwieście marek na resztę życia. No, byli tacy, którzy przyjechali tutaj, aby zbierać marki, które miały leżeć na ulicy. Nie leżały. Ale szybko to sobie uświadomili. Dni następowały po sobie i były ciągle takie same; po śniadaniu na kurs niemieckiego, po obiedzie *bumel*,

wyraz, który szybko zaakceptowaliśmy z niemieckiego *Stadtbummel*, brzmiał swojsko. Było nas sześcioro. Karol mieszkał z Krzysztofem, a Blanka z Marianem, który wpadał tutaj rzadko, jak po świeży oddech między swoimi tajemniczymi eskapadami do Berlina, ale to osobna historia. Wieczory były chyba też takie same. Znalazłem sobie miejsce w kącie pod oknem, gdzie kończyła się czarna skrzynia fortepianu. Trochę światła padało od strony klawiatury, gdzie siedziała Blanka mając przed sobą oświetlony zeszyt z nutami. Ale tego wieczora, który tak bardzo utkwiał mi w pamięci, wtedy akurat, nie grała. To radio grało. A właściwie akurat przestało grać. Ucihły ostatnie dźwięki „Poloneza A-dur”. Polskie Radio kończyło nadawanie programu i ktoś je wyłączył. Już dawno nie ludziliśmy się, że z Polskiego Radia usłyszymy nowinę, na jaką czekaliśmy. Ukuło się wśród nas powiedzenie, że melodia „*Poloneza A-dur*” to jedyna prawda z radiowego dziennika. Zresztą, ta gorzka refleksja znana nam była powszechnie jeszcze w Polsce zanim w różny sposób i w różnych okolicznościach wyjechaliśmy z kraju.

\*

„(…) *A może wcale matki już nie mam. Może ją Moskal zabił... zamordował - siostry bez zmysłów, nie dają się - nie - Ojciec w rozpacz, nie wie sobie rady, nie ma komu podnieść Matki. - A ja tu beczymy, a ja tu z gołymi rękami, czasem tylko stękam, boleję na fortepianie, rozpaczam - i cóż nada? - Boże, Boże. Wzrusz ziemię, niech pochłonie ludzi tego wieku. Niech najsroźsze męczarnie dręczą Francuzów, co nam na pomoc nie przysli. (…)*”

Blanka wprowadziła w tę ciszę delikatne tony fortepianu. Chciałoby się powiedzieć: ... *a to echo grało*. Nieuporządkowane dźwięki z „*Poloneza A-dur*”. Rzeczywiście, była to tylko zabawa; jakby Blanka bawiąc się pojedynczymi dźwiękami rozsypywała garście taktów wybranych z tego *naszego poloneza*, wyobraźnia niosła tę muzykę poza Chopinstraße, chen w pokryte teraz złocistymi liśćmi buki na Wyżynie Szwabskiej. A my? Widzieliśmy w tym naszą polską złotą jesień. Widać każdy kraj ma swoją własną złotą jesień. Urokliwy był ten widok. Aż żal, że miały go przysłonić dwudziestopiętrowe wieżowce, które pięły się w górę na naszych oczach.

Blanka grała... Czy tylko bawiła się klawiszami? Delikatne dźwięki pasaży wypełniały mroczny lokal, a te wnikały w nasze myśli. O ile łatwiej powstają w myśli obrazy, gdy wspiera je muzyka. Z pozornej kakofonii fortepianowych dźwięków wykwitwały jakby przypadkowo przez pianistkę przywołane fragmenty chopinowskich zapisów z postojem w Stuttgarcie. *Prześliczne rzeczy improwizowała na tym fortepianie*.

Krótki zapis z listu Słowackiego do matki z 3 września 1832 roku:

(…) „*Podczas obiadu Cezary biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie - był to wieczór z mężczyzn samych złożony... Szopen, sławny fortepianista, grał nam... gadaliśmy różne poezje, słowem, że dobrze nam szedł wieczór (...)*”

*W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór - ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziłem się śmiertelnie od 10. do drugiej w nocy - pod koniec jednak Szopen upił się i przesłizne rzeczy improwizował na fortepiano.” (...)*

Przed wyemigrowaniem do Niemiec

Blanka uczyła historii w jednym z liceów ogólnokształcących w Bydgoszczy. Powszechnie wiadomo było, że jej małżeństwo praktycznie nie istniało. Było też wiadomo, że Blankę i jej męża różniły radykalnie poglądy na polską rzeczywistość. Tylko niektórzy wiedzieli, że w soboty wolne od lekcji uczyła też historii. Ale tej zakazanej historii. W swoim domu. Czy wiedział o tym Marian? Na pewno wiedział, jeśli nawet rzadko bywał w domu. Na ile były te komplety utajnione? Zapewne władzom wygodniej było wiedzieć, kogo ma się przeciw, niż ryzykować, że po dekonspiracji z jednej grupy powstaną dwie. A na ile utajniona była nasza redakcja w kamieniczce tuż nad brzegiem Brdy? Na ścianie kamieniczki nad Brdą wisiał napis: Komitet Założycielski Niezależnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Szyl wisiał więc... legalnie. Na kradzionym, podłym, złotawym papierze i na zdezelowanym powielaczu drukowaliśmy nasze czasopismo. Pismo nie było legalne, jak i nielegalne były wszystkie druki wychodzące bez cenzury<sup>5</sup>. Nie mieliśmy jednak złudzeń, że i nasza redakcja nie jest inwigilowana. Poprosiliśmy Blankę, aby napisała kilka konspektów z obszernego eseju Władysława Bartoszewskiego „Polskie Państwo Podziemne 1939-1945”. Zrobiła to chętnie i nie zgadzała się na publikację pod pseudonimem. Ona uważała, że brak jakichkolwiek konsekwencji z powodu jej tajnych kompletów z historii Polski (o czym oni na pewno wiedzieli), świadczy o powolnym oddawaniu pola przez władzę. Już dwa dni po ukazaniu się pierwszego odcinka wezwał ją dyrektor i z niezdarną pewnością siebie dał jej dyscyplinarne wypowiedzenie „z powodu tendencyjnego wypaczania programu nauki historii Polski”. ...*No, skądże, panie dyrektorze. Tendencyjnie? Przecież to się czasami myli człowiekowi, gdy zna jedną historię, a ma uczyć innej. Niechcący więc, panie dyrektorze, może nawet podczas normalnej lekcji zdarzyć mi się mogła taka pomyłka... O publikacji ani słowa. Na pewno mieli swoje wśród nas, ale najwidoczniej musiał jeszcze trwać na posterunku.*

(...) *Tak, nie tak, tak, nie tak, nie tak, tak, palec w palec... opsnęło się!... Kocha mnie? Kocha mnie pewno? - Niech robi, co chce. Dziś wyższe uczucie, wyższe, daleko wyższe od... ciekawości mam w duszy. (...)* *Dobrej można być pamięci - (...)* *Ojcie, Matko, dzieci. Wszystko to, co mi najdroższe, gdzieście wy? - Może trupy? - Może Moskal zabił mi figła! - A, zaczekaj! - Czekaj... Ależ ty? - Dawno już nie płynęły? - Skądże to? - Wszakże suchy smutek od dawna mnie ogarnął. Ach - długo płakać nie mogłem. Jakże mi dobrze... tęskno! Tęskno i dobrze! - Jakież to uczucie? Dobrze i tęskno, kiedy tęskno, to niedobrze, a jednak miło! - Jest to stan dziwny. (...)* ❖

cdn.

## Przypisy:

- 1 Suleika, wtedy 48-letnia dama, Marianne von Willemer, ale od młodzieńczych lat związana wzajemnym uczuciem z Wolfgangiem Goethe („*Sollst du mir ewig Suleika heißen*“), wtedy już 82 letnim, w roku jego śmierci.
- 2 Po zamachu na księcia Konstantego.
- 3 Karol Ujejski (1823 – 1897): *Marsz pogrzebowy* Maria Konopnicka (1842 – 1910): *Gdy polonez chopinowski* Kazimierz Przerwa-Tetmajer (1865 – 1940): *Cień Chopina* Artur Oppman (1867 – 1931): *Koncert Chopina* Leopold Staff (1878 – 1957): *Zniszczenie pomnika Chopina*
- 4 George Richard Marek, Maria Gordon Smith: *Chopin*.
- 5 Zobacz PRZYPISY: „*czasopisma drugiego obiegu*”

**Julia Kłoda****pan z naprzeciwka**

---

wstaje codziennie  
o piątej piętnaście  
o piątej dziewiętnaście odpalamy wspólnie papierosa  
po dwóch stronach świata  
machamy sobie na dzień dobry i dobranoc  
on całuje żonę przed wyjściem  
ja szukam powodów by zasnąć  
wstać z kalendarzem o dwa dni przedawnionym  
i uciec  
do mojego pana z naprzeciwka  
na papierosa  
przed snem  
by mógł uwierzyć i wrócić  
do zapalania co dzień światła  
do kupowania tych samych papierosów od dwudziestu lat  
całowania tej samej kobiety przez całe swoje życie  
i zawsze z uśmiechem powitania zgubionego dziecka  
wszystkich sierot

mój pan z naprzeciwka  
ma zmęczone oczy, drżące dłonie  
i coraz więcej siwych włosów  
częściej opiera się o poręcz  
a żona pomaga mu zrobić kawę  
wracają razem  
do rozświetlonego lampą na oknie pokoju  
wędrują korytarzem  
a potem znów jest ciemno  
mój pan z żoną  
witają mnie niezmiennie od miesięcy  
o piątej dwadzieścia jeden  
wspólnie unoszą prawe dłonie i powoli kierując je ku mnie  
szukając mętnym wzrokiem swojej towarzyszkii  
parzą razem kawę  
wędrują korytarzem  
całują się w sypialni  
a światło gaśnie  
i zapala się  
jeszcze kilka tygodni  
potem świat zastyga

mój pan z naprzeciwka  
odwiedza mnie czasem  
wtedy znów pijemy razem kawę  
częstujemy się papierosami  
i śmieje się pokasłując  
gdy wspomina nasz okienny romans  
mój pan z naprzeciwka  
zostawił mi w spadku cały świat  
i zabrał powody  
by nadal tego świata chcieć  
mój pan z naprzeciwka  
mój pan  
z  
naprzeciwka

**Dawid Kalinowski****publiczność**

---

kochaliśmy się  
na ulicy

obudziło mnie  
trąbienie za oknem

**Dawid Kalinowski****zaginał człowiek**

---

znaki szczególne  
dwie nogi  
dwie ręce  
głowa bez ubytków

wyszedł rano  
nie zabrał niczego

zrywam kartkę

przyklejam  
do gołego brzucha

**lalki**

---

mama zakopała nasze lalki  
dziurę wykopała sama  
wrzuciła  
twarzą do ziemi

psy zamiast kości  
w pyskach  
noszą plastikowe nogi

**Anna Maria Mickiewicz****lubelskie kontrapunkty**

---

pan Jan pomalował arkady w kościołach  
Zakończył ziemskie prace

teraz zaprasza Stanisława  
stolarza  
który  
kilkadziesiąt lat  
prowadził renowacje  
w Muzeum na Majdanku  
dawnym obozie koncentracyjnym

wieczorami polerował stoły mozolnie wcierając politurę  
zapach żywicy octu i wciskał się mocno w oczy  
drewno łagodnie rozgrzewało spracowane dłonie

\*

staruszki wyglądają zza firanek  
czekają na drobną sylwetkę i stolarskie narzędzia

odpada farba z balkonowych szczebli

nie ma Jana  
nie będzie też Stanisława  
kto pomaluje arkady i balkony?

zajrzy ukradkiem w oczy proboszcza  
szukając grzechów?

**Grzegorz Legawski****Do ścian**

---

zimnych, wrednych, nieściennych  
zwracam się z prośbą bezpośrednią:  
litości!

Spełniajcie swoje ścienne  
obowiązki, milczcie chropowatą bielą,  
nie zbliżajcie się do mnie, nie zbliżajcie się  
do centrum mojego świata.

Nie patrzcie na mnie z wyrzutem,  
że was nie opuszczam. Nie proście,  
żebym wracał.

Ściany –  
najbardziej roztańczone,  
najbardziej rozgadane  
elementy krajobrazu –

nie uginajcie się pod ciężarem  
moich porannych spojrzeń,

nie uśmiechajcie się do mnie  
uśmiechem zeroznaczny.

Jestem starą muchą,  
czarną jak plama na spisie  
trwonień. Jestem bardzo zmęczony.  
Bądźcie mi litościwe, ściany nieskończone!

Mieście trochę wstydu i nie śpiewajcie  
pieśni, która burzy fundamenty  
mojego istnienia.

## Drzewa

Drzewa czasem się przewracają. Najczęściej dzieje się tak za sprawą gwałtownych, huraganowych można powiedzieć, podmuchów wiatru towarzyszących nawałnicom. Nie muszą być to drzewa stare albo chore. Coś takiego przydarza się również najzdrowszym i najmocniejszym okazom, a czynnikiem decydującym jest po prostu siła wiatru i czasem jego kierunek, kiedy drzewo jest w naturalny sposób przechylone, a tym samym bardziej podatne na przewrócenie. Bywa, że nie obala się jednoznacznie i ostatecznie, ale dzieje się to niejako na raty, kiedy padając, zatrzymuje się na innym drzewie albo jakiegokolwiek stabilniejszej strukturze i tkwi między pionem a poziomem, w konsekwencji stanowiąc niebawem niebezpieczeństwo. Tamtego lata po raz pierwszy doświadczyłem wizji upadku, która zmaterializowała się w katastrofalnej, jak czas pokazał, decyzji o wycince drzew na działce. Mechanizm uruchomienia tej upiornej sekwencji był niezwykle – wydawało mi się, że cała ta skomplikowana machina do zadawania psychicznego bólu tylko czeka na sygnał jak pajak przycupnięty na skraju lepkiej sieci. Katalizatorem tej reakcji mogło być cokolwiek – kilka pozornie niewinnych słów, nawet jeden posłyszany przypadkiem wyraz czy tytuł w gazecie czytanej przez jakiegoś pasażera pociągu podmiejskiego. A potem ruszała osobista turbina do wytwarzania lęku, mnożyły się najodleglejsze skojarzenia, pospolite przedmioty i zwyczajne gesty obcych często ludzi zamieniały się w upiorne symbole. A wszystko to prowadziło do piętrowych wizji ostatecznego upadku, który miał się stać moim udziałem. Wszędzie, dosłownie wszędzie dostrzegałem zagrożenie, pułapki, zamaskowane doły z dzidami na sztorc i ostatecznie popadłem w szaleństwo dziesięciokrotnego sprawdzania zamków u drzwi, klamek, kranów, izb lekcyjnych po lekcjach, włączników, uchylonych okien, niedomkniętych sklepowych lodówek, planu lekcji... Zaczęłam analizować rzeczywistość pod kątem moich ewentualnych uchybień i zaniedbań i gdzie się nie ruszyłem, tam widziałem załączki katastrofy.

Wszystko tak naprawdę zaczęło się od niepokojącej prognozy pogody, która wszak nie stanowiła niczego niezwykłego w sezonie letnim – po fali upałów zapowiedziano po-

prostu nadejście wyjątkowo gwałtownego frontu burzowego. Siedziałem wtedy na werandzie działkowego domku i patrzyłem na szczytowe partie dorodnych świerków okalających tę moją pracowniczą parcelę, będącą tak naprawdę splachetkiem ziemi z nieco nadgniłym domkiem pełnym książek i pajęczyn. Nic nie zapowiadało jeszcze zmiany w pogodzie: było upalne, sierpniowe popołudnie, białe obłoki leniwie dryfowały po błękitnym niebie, a wśród gałęzi drzew buszowały dwie rude wiewiórki. Obserwowałem ich beztroskie harce, nie zdając sobie sprawy, iż były to ostatnie godziny mojego wewnętrznego spokoju i równowagi.

Senne popołudnie zaczęło płynnie przechodzić w cichy wieczór, kiedy temperatura nagle spadła i nad ogród działkowy napłynęły bezgłośnie szare chmury, które w mojej wyobraźni upodobniły się do złowieszczych sterowców.

- Chyba zanosi się na burzę! - krzyknął przez parkan sąsiad. - Syn dzwonił i mówił, że w Pruszkowie już nawałnica. Ponoć wiatr zwałił wieżę kościelną. - dodał zupełnie niepotrzebnie, bo i bez tego czułem narastającą panikę.

- Może przejdzie bokiem. - odpowiedziałem słabym głosem i od razu zdałem sobie sprawę z niedorzeczności tych słów. Z każdej strony nad ogród zaczynały napierać masy czerni wlokące ze sobą ściany deszczu, co doskonale było widać w oddali.

Kolejny raz trwożnie spojrzałem w niebo i na chwiejące się świerki, coraz gwałtowniej targane podmuchami wiatru.

- Żeby tylko jakiego nieszczęścia nie było! - powiedział na odchodne sąsiad.

Udałem, że nie słyszę. Już zaczynało kropić. Po chwili rozszalała się burza i dosłownie w ostatniej chwili zdążyłem schować się do wnętrza domku. Usiadłem w starym fotelu, który pamiętał jeszcze ojca, i zacząłem z niepokojem patrzeć przez przybrudzoną szybę na szarpane wichurą drzewa. Wicher zdawał się jeszcze wzmacniać – niemal czułem jak napiera na drewniane ściany chałupki, które zaczynały niepokojąco trzeszczeć. Nagle rozległ się trzask i na trawnik upadł wielki konar mojego jedyne go modrzewia. Zaraz potem nastąpił ostatni, jak się okazało, atak burzy. Nawałnica uderzyła z taką siłą,

że jeden ze świerków złamał się w połowie i jego górna część uderzyła z całym impetem w dach domku. Dwa inne pozostały pochylone pod dziwnym kątem.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, deszcz zelżał, przechodząc w leniwie siąpiącą mżawkę. Wiatr zupełnie ucichł i w ciągu kilku minut niebo się przetaiło. Z wahaniem wyszedłem przed domek, żeby ocenić rozmiar zniszczeń. Obalone drzewo uszkodziło dach, ale, szczęście w nieszczęściu, uderzyło w część nad werandą, więc tak naprawdę nic nie groziło wnętrzu chałupki. Znacznie gorzej przedstawiała się sprawa pochylonych świerków. Obszedłem je z każdej strony i nie miałem wątpliwości, że stanowią zagrożenie. Niebezpiecznie pochylały się nad ścieżką, którą przechodziły codziennie dziesiątki działkowców, a nieco dalej parkowały też auta, będąc tym samym w zasięgu potencjalnej destrukcji. Każda kolejna burza mogła skończyć się prawdziwą tragedią, a jej realistyczny obraz już miałem przed oczami. Dokładnie, ze wszystkimi upiornymi szczegółami, widziałem małego chłopczyka przygniecionego drzewem. Nachylał się nad nim pobladły ojciec i próbował przesunąć ciężki pień, ale było to daremne, bo dziecko już wydawało ostatnie tchnienie, a spod pnia wypływała krew, tworząc szybko powiększającą się kałużę...

Nie mogłem już patrzeć na moje świerki i postanowiłem natychmiast pojechać do domu. W drodze powrotnej odwracałem wzrok na widok drzew, ze szczególnym uwzględnieniem tych pochylonych. Postanowiłem, że przez kilka dni nie będę oglądał prognozy pogody, żeby nieco odzyskać równowagę. Niestety, mój plan spalił na panewce, bo matka zdawała mi regularne raporty ze wszystkiego, co obejrzała w telewizji.

- Zapowiadają s t r a s z n e burze! - oznajmiła kilka dni później przy śniadaniu. Poczulem jak kawałek rogała z makiem pęcznieje mi w ustach i nie byłem w stanie go połknąć.

- Zaraz jadę na działkę! - powiedziałem nagle i gwałtownie odsunąłem od siebie talerz.

- W taki upał?! - zdziwiła się. - Może po południu...

- Muszę coś sprawdzić. - uciałem i pospiesznie zszedłem do samochodu.

Po drodze wszędzie dostrzegałem pochylone drzewa, które w każdej chwili mogły się przewrócić, raniąc albo zabijając ludzi i doszczętnie niszcząc zaparkowane w ich pobliżu samochody. Miałem wrażenie, że już nic oprócz drzew nie istnieje na świecie, bo gdzie tylko spojrzełam, tam stały: już nie tylko pojedynczo, ale całymi grupami, napierając na szosę i niebezpiecznie pochylając swoje korony.

Spocony jak mysz, wjechałem na teren działek, do samego końca unikając patrzenia na moje świerki. W końcu spojrzełam w ich kierunku i wydały mi się jeszcze b a r d z i e j pochylone, stwarzające jeszcze p o w a ż n i e j s z e zagrożenie dla jeszcze w i ę k s z e j ilości przechodzących tamtędy ludzi. Sąsiedzi z naprzeciwka też już przyjechali. Przywitałem się z nimi uprzejmie i potem przez cały czas dyskretnie ich obserwowałem. Szeptali coś między sobą, wskazując to na mnie, to na moje pochylone świerki. Potem doszedł do nich gospodarz działek i we trójkę dalej konferowali, nie spuszczać wzroku z

## SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ



pon - pt: 12:00 - 18:00  
sobota: 12:00 - 15:00  
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: [xsusanx@wp.pl](mailto:xsusanx@wp.pl)

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

mojego ogródka. Nie mogłem dłużej tego znieść i schowałem się w domku, z którego wyszedłem dopiero po kilku godzinach. Jak na złość, sąsiad głośno słuchał radia i trafiłem akurat na prognozę pogody: „Po fali upałów synoptycy zapowiadają nadejście gwałtownych burz. Istnieje poważne ryzyko trąb powietrznych...”, usłyszałem.

Nie było na co czekać! Podjąłem decyzję! Szybko wyszukałem numer ludzi zajmujących się wycinką i zadzwoniłem.

- Halo! - zacząłem niecierpliwie – Mam do wycięcia kilka drzew, tu niedaleko... Natychmiast, jak najszybciej... Nie, nie mam zezwolenia, to na działce... Jutro? Koło 7 rano? Dobrze!

Rozłączyłem się i natychmiast poczułem ulgę rozlewającą się po całym ciele. „Więc jutro będzie po kłopotcie!”, myślałem uradowany. Odjeżdżając z działki rzuciłem ostatnie spojrzenie na pochylone świerki i nie doznałem żadnego nieprzyjemnego odczucia. Ot, kilka drzew do wycięcia. Zwykła rzecz.

Następnego dnia rano pod moją bramkę podjechał samochód z podnośnikiem koszowym i wyskoczyło z niego dwóch ludzi w kombinezonach roboczych. Przywitani się ze mną i zapytali, o które drzewa chodzi. Wskazałem je bez słowa, kiwnęli głowami i zabrali się do roboty. Nawet się nie spodziewałem, że

wszystko pójdzie tak sprawnie: najpierw odcięli większe konary, potem części szczytowe i w końcu fragmenty pni. Po godzinie odjechali, a ja zostałem z ogromną stertą gałęzi i sterczącymi jak wyrzuty sumienia pniakami. Usiadłem na leżaku i głęboko westchnąłem. Pozbyłem się zagrożenia i mogłem ze spokojem oczekiwać na zapowiadane nawałnice. Nagle w przedpołudniowej ciszy usłyszałem jakby popiskiwanie. Z początku nie potrafiłem zlokalizować źródła tego dźwięku, więc podniosłem się i zrobiłem kilka kroków w kierunku sterty gałęzi i drewnianych kłoców. Niewątpliwie kwilenie dochodziło stamtąd. Rozsunąłem gęstwinę igliwia i moim oczom ukazało się ranne pisklę, spazmatycznie otwierające dzióbek. Najwyraźniej cierpiało, bo jedno ze skrzydełek było zmiażdżone i wygięte pod nienaturalnym kątem. Podczas wycinki musiało wypaść razem z gniazdem i zostało pogrzebane pod startami gałęzi. Wziąłem je w obie ręce. Było puchate i ciepłe. Taka skrzeczająca kulka. Kwiliło coraz ciszej i było jasne, że nic z niego nie będzie. Przeniosłem je za domek i zostawiłem w zaroślach na pastwę losu. Do dziś nie wiem, dlaczego tak postąpiłem, dlaczego nie próbowałem ratować ptaszka za wszelką cenę. Odszedłem stamtąd jak najszybciej i wróciłem na leżak. Słońce już zaczęło prażyć i byłem pewien, że już niedługo pisklę będzie martwe. Starąłem się o tym nie myśleć.

Mój wzrok coraz częściej wędrował w kierunku sterczących przy parkanie pniaków. Dopiero wtedy zrozumiałem, że wycinając drzewa, dokonałem przestępstwa i mogę być za to surowo ukarany. Usłużny umysł natychmiast wyczarował wizję ruiny finansowej i powiązanych z nią innych nieszczęść. Poderwałem się z leżaka i podszedłem do pniaków. Zaczęłem panicznie zakrywać je gałęziami, ale wyglądało to jeszcze gorzej. Co chwila zerkałem w kierunku zarośli, gdzie powoli dogorywało pisklę. W końcu nie mogłem tego wszystkiego znieść i pospiesznie odjechałem do domu. I znowu zaczęła się tortura. Każde mijane drzewo zdawało się oskarżać mnie o morderstwo ptaszka. Ocz-

mi wyobraźni widziałem krwawiące sokami pniaki i nijak nie potrafiłem pozbyć się z głowy tego obrazu. Z czasem drzewne soki zamieniły się w prawdziwą krew. Budziłem się i zasypiałem z obrazem pniaków stojących w kałużach ciemnoczerwonej mazi, w których powoli umierały kwilące pisklęta. Z początku jeździłem na działkę regularnie. Starąłem się nie patrzeć w kierunku miejsca, gdzie jeszcze niedawno rosły świerki i skrętnie omijałem wzrokiem zarośla z martwym już niewątpliwie ptaszkiem. Chowałem się do chałupki, kiedy ktoś nadchodził, nie chcąc wdawać się w jakiegokolwiek rozmowy.

Z nadejściem jesieni całkiem zrezygnowałem z wizyt na działce i przesiadywałem głównie w domu, żeby do minimum ograniczyć widok jakichkolwiek drzew. Z niepokojem sprawdzałem zawartość skrzynki pocztowej, każdego dnia spodziewając się nadejścia listu poleconego informującego, że wszczęto przeciwko mnie postępowanie. Codzienne życie stało się koszmarem, bo wszędzie czaiły się zagrożenia wynikające z moich zaniedbań i niedopatrzeń. W czerwcu następnego roku złożyłem wymówienie. Po prostu nie mogłem już dłużej znieść widoku świerków rosnących w pobliżu budynku szkoły, w której uczyłem. Potem było jeszcze gorzej. Nie wróciłem do pracy i utrzymywałem się tylko z matczynej renty. Z biegiem czasu przestałem wychodzić i unikałem wyglądu przez okno, żeby nie patrzeć na drzewo rosnące przy osiedlowym śmietniku. Najwygodniej było mi na stałe zostać w łóżku i tak też zrobiłem. Któregoś dnia zdałem sobie sprawę, że od dłuższego czasu nie widziałem matki. Potem przyjechali i mnie zabrali. Tu, gdzie teraz jestem, też głównie leżę, nie patrzę w stronę okna, bo tam jest szpitalny park, a w parku są drzewa, które mają to do siebie, że czasem się przewracają. Dzieje się tak najczęściej za sprawą gwałtownych, huraganowych można powiedzieć, podmuchów wiatru towarzyszących nawałnicom. Nie muszą być to drzewa stare albo chore. Coś takiego przydarza się również najzdrowszym i najmocniejszym okazom... ❖

**XXI OGÓLNOPOLSKI  
KONKURS POETYCKI  
„PREZENTACJE EKOLOGICZNE  
BARCIN 2025”**

Stowarzyszenie Ekologiczne w Barcinie zaprasza do udziału w konkursie wszystkich bez wyjątku twórców, którzy w swoich utworach ukazują głęboki ekologiczny stosunek do świata, w którym całą przyrodę traktuje się jako Boży dar dla człowieka i widzi się w niej świętość. Kształtują wrażliwość na dobro i piękno.

Prace konkursowe liczące 3 utwory poetyckie o wątkach ekologicznych, opatrzone godłem, należy przesłać w 2 egzemplarzach do siedziby Stowarzyszenia Ekologicznego w Barcinie na adres: **Janina Drażek, ul. Pakoska 16, 88-190 Barcin**. Do zestawu utworów należy dołączyć opatrzoną tym samym godłem zamkniętą kopertę zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres oraz numer telefonu. Osoby do 18 roku życia obok godła podają wiek. Termin nadesłania prac konkursowych upływa z dniem **20 kwietnia 2025r.**

Jury konkursu przyznaje następujące nagrody:

- Grand Prix – 500 zł,
- I nagroda – 400 zł,
- II nagroda - 300 zł,
- III nagroda – 200 zł,

oraz kilka wyróżnień po 100 zł.

Dodatkowa nagroda to zamieszczenie wierszy w XXI tomiku poezji, który stanowić będzie trwały ślad konkursu. Ogłoszenie wyników i prezentacja wydawnictwa odbędzie się podczas „Gali poezji ekologicznej”.

Prezes

Stowarzyszenia Ekologicznego w Barcinie  
Janina Drażek

**Jolanta Baziak**

**Możrze**

możrze już czas  
by Ci POWIEDZIEĆ Zbyszku  
że Twoje morze pierwsze było w Bydgoszczy

wody płodowe  
z tego miejsca płynąłeś na

wszystkie niebne podniebne ziemskie PRZYSTANIE  
aż dopłynąłeś do portu macierzystego gdzie czekają świetliście

mówi się tutaj odszedł do Pana  
ale to Pan teologów

moc Życia

ukryta przecież nie z powodu pierwotnego grzechu widzenia  
poznania  
przestrzeń jako pojęcie z lekcji geometrii filozofii astrofizyki  
nie pomieści tyłu ciał

a dusze świetliste już znają Wszystko

**Juliusz Wątroba****Fejs bukowa sława**

---

Fejs bukowa sława, kiedy lajków nawał  
 - i zachwytów zdalnych sekso-wirtualnych -  
 poprawia humorek natchnionych auterek,  
 które ekstatycznie fruują lirycznie,  
 uczepione grzywy Pegaza, co żywy  
 ledwo się unosi, aby Muzy prosić,  
 by nalały cosik w łebki chandrą chore,  
 a najlepiej olej z oliwki, co rośnie  
 hen – pod Akropolem, aby było sprośniej,  
 bowiem sprośność w cenie, tak jak z disco polem  
 natchnione, natchnienie z rana i wieczorem,  
 kiedy księżyc błazen i gwiazdeczki głupie,  
 można pieczeń upiec (a nawet usmażyć!),  
 aby sławy zażyć w poetyckiej grupie  
 - być świata ozdobą i tak marzyć, marzyć  
 solo lub grupowo...  
 Bo czy jesień sapie, wiosna, lato, zima,  
 Facebook, tak jak papier, też wszystko wytrzyma!

**Krzysztof T.Konecki****Nic się nie dzieje**

---

Byt to rodzaj męski  
 Męskość  
 Nijakość  
 Płytkość  
 Szorstkość  
 Ni to  
 Ni owo  
 Tamto  
 Też nic  
 Niebyt  
 Prawie

Małości  
 Wielkości  
 Bytności  
 Też nie chce

A tu z nic  
 Hop  
 hyc  
 Hola  
 I byt  
 Oddaje pola

**Grzegorz Zientecki****AFORYZMY**

---

Historia. Jesteś w nią zamieszany.

Zło ma wielu giermków. Dobro, tylko rycerzy.

Świat jest za ciasny dla marzenia i zbyt przestronny dla cierpienia.

Życie to wachlarz możliwości. Tylko nie każdy rozwija go do końca.

**Michał Piechutowski****Syndrom towarzysza Wiesława**

---

Pogoda dała się nabrać  
 i z entuzjazmem przystąpiła do odwilży  
 Teraz ochoczo ujawnia  
 psie gówna na trawnikach  
 i inne nadużycia  
 dwudniowych przymrozków  
 Dzieci radośnie obrzucają się  
 mokrym śniegiem  
 a dorośli suszą ich przemoczone buty  
 starymi gazetami  
 z nietrafnymi prognozami pogody

**Michał Piechutowski****do domu wróciłem późno**

---

podłoga podstawiła mi nogę  
 potem mocno chwyciła  
 przyciągnęła do siebie  
 objęła  
 przytuliła ze wszystkich sił

nazajutrz nie gderала  
 że spałem za długo

**Michał Piechutowski****Tak to działa**

---

Nikt nie jest prorokiem  
 we własnym kraju

Nikt nie jest artystą  
 we własnym domu

Nikt nie jest dorosły  
 w oczach własnych rodziców

Nikt nie jest półgłówkiem  
 we własnym mniemaniu

**Krzysztof T.Konecki****Durian**

---

Durianem szczęśliwi  
 Umierają ze smrodu  
 Nigdy z głodu

**Juliusz Wątroba****Knajpa**

---

Tu księżyc wschodzi swoją ciemną stroną  
 Dolary szumią zielenią koniczyn  
 Zmierzch się przygląda posiwiiałym skroniom  
 Nikt się nie liczy z nikim ani z niczym

Pokład podłogi kołysze się w kuflach  
 Alkoholowy Adriatyk przystanął  
 Z mgły dymu rośnie Afrodyta smukła  
 Tu słodkie życie stracić możesz tanio

A mewy kobiet krzykliwie natrętne  
 siadły na burtach stolików i krzesel  
 latający holender – tusty barman – drze się:  
 Koniec! Spieprzajcie!! Zamknięte!!! Zamknięte!!!

**Radosław Bicz****Myśli drobne**

---

\*\*\*  
 jak to jest  
 że niektóre  
 kotki króliczki i misie  
 ewoluują po czasie  
 w krowy i barany

\*\*\*  
 i znów  
 zapomniałem  
 pamiętać o tym  
 żeby nie zapomnieć  
 jak dobrze żyć...

\*\*\*  
 Pije odpowiedzialnie...  
 Nigdy...  
 Przenigdy...  
 Nie zdarzyło mi się...  
 rozlać.

\*\*\*  
 tęsknię za czasami  
 gdy nienawiść  
 do polaryzacji  
 wynikała jedynie  
 z niechęci do fizyki

\*\*\*  
 Ja chyba wolę  
 być smutny z twarzy  
 gdyż to te uśmiechnięte  
 najczęściej dyndają...  
 pod żyrandolem.



Stanisław Chyczyński

## Biało-czerwony Sławomir Krzyśka

**SŁAWOMIRA KRZYŚKI** nie ma potrzeby specjalnie przedstawiać wśród licznych czytelników „Akantu”. Obok Stefana Pastuszewskiego, Marka S. Podborskiego czy Jerzego Utkina, należy on do autorów najpłodniejszych literacko. Dotyczy to nie tylko obecności na periodycznych łamach, ale przede wszystkim publikowanych książek. Jeszcze nie ucichły echa po wydaniu *Chwilii wyciszenia* (Gniezno 2024), a już robi się coraz głośniejsze o nowej książce poetyckiej Krzyśki *Czerwona biel* (Bydgoszcz 2024).

Okazało się, że tytuł *Czerwona biel* jest... zwodniczy, jako że dałem się zupełnie nabrać, oczekując tam utworów o tematyce „biało-czerwonej”, patriotycznej, może nawet trochę bogoojczyźnianej, jak np. u W. Wencla, choć przecież do bibliofila z Gniezna jakoś to nie przystawało. A skoro tak łatwo dałem się zwieść, to najwyraźniej myślę pochopnie, schematycznie, stereotypowo. Ale z premedytacją wymyśliłem „fałszywy” tytuł dla niniejszej recenzji, aby... nie czuć się osamotnionym w tej nietrafionej intuicji! Zatem wyraźnie to trzeba powiedzieć, że w książce tej daremnie by szukać śladowych wątków z lokalnej historii, błędnych aluzji do małej ojczyzny autora, że o akcentach narodowych czy martyrologicznych nie wspomnę. *Notabene* nie jest to, bynajmniej, żaden zarzut, ale najzwyczajniejsze stwierdzenie faktu.

Autor *Rozterek brodacza* (2023), jako poeta, nie zamierza rozmieniać się na drobne, wdawać się w jakieś partykularyzmy, choćby narodowe. Od lat ima się tematów ogólnych, uniwersalnych, ahistorycznych. Są to przykładowo: *czas (trwanie, przemijanie)*, *byt, atrybuty i sens egzystencji*, *miłość, komunikacja interpersonalna*, *Absolut* wreszcie. Jako bystry obserwator, z wykształcenia matematyka, uważnie i wnikliwie przygląda się życiu (rzeczywistości), wychwytyując różne aporie, antynomie, paradoxy, paralogizmy i obiekcje teoretyczne. Na styku jego ontogenezy i obserwacji (samo)krytycznych powstaje liryka, o której Stefan Pastuszewski pisze: „Jest to poezja słów, sensów i głębi filozoficzno-duchowych, a nie obrazów, choć one też się pojawiają, ale jakby w tle, zamglone, lekko tylko naszkicowane” (*vide* posłowie). Zatem jest to *ars poetica* niewątpliwie indywidualna i intelektualna.

Czytelnicy trudnych dzieł np. Marcina Heideggera doskonale wiedzą, że sama egzystencja, jak i jej ontologiczny (metafizyczny) kontekst, tak naprawdę wymykają się pełnej intersubiektywnej werbalizacji. I chociaż Grzegorz H. Gadamer twierdził, że „poezja jest językiem w sensie nadzwyczajnym”, podkreślając jej szczególny potencjał w obnażaniu tajemnic egzemplaryczności, to dziś zdajemy sobie sprawę z naturalnych ograniczeń w tym zakresie. Dekonstrukcjonści odkryli płodną prawdę, że „wiersz mówi, nie mówiąc, o tym, o czym nie mówi, mówiąc”. Z czego wynika, że *de facto* sam autor nie wie do końca (na 100%), o czym opowiada jego wiersz! Ma tego świadomość także Sławomir Krzyśka, pisząc teksty autotematyczne, w których czytamy np. „Nie ustają poeci/ w nierównej walce/ ze słowem” (s. 19) albo: „Wiersze potrafią/ w zawłości słów/ nie mówić prawdy/ (...) Iść krętą drogą/ wkładać

maski/ śnić” (s. 47; por. także wiersz *Rozmowa o poezji*). A w swoistej apostrofie *Do poezji* – co znamienne! – sam poeta zadaje pytanie: „Czy znam/ twój urok barwy i rytm”.

Twórca *Pękającego szkła* (2022) celuje w stawianiu tzw. pytań istotnych, ale nie zamyka ich swymi refleksjami. Mało tego, zdaje się sugerować, że satysfakcja poznawcza w ogóle nie jest możliwa: „Szukasz odpowiedzi/ na najprostsze pytanie// Znajdujesz/ i nadal nic nie wiesz/ dopóki tu jesteś” (s. 21). Taka uwaga pewnością nie zachęca do wyteżonych poszukiwań prawd ultimatywnych. O bezowocności tychże wiedzieli już przeróżni metafizycy, ale mniejsza z tym, skoro cenili głównie samo zadawanie pytań. Niekiedy utwory gnieźnieńskiego poety (*implicite!*) generują tak wiele kwestii pytań, że jako takie mogłyby posłużyć za temat osobnego minieseju!

Od strony formalnej o polisemantyczności wierszy z *Czerwonej bieli* decyduje głównie (wbrew pozorom!) bogata metaforyka. Bywa, że dość proste przenośnie (np. „drżące imię”, „rytm barwy”, „ogród wspomnień”, „gniewna mgła”, „popioły wiary”, „krople snów”, „ruiny smutku”, „martwa cisza”, „zmęczone słowa”), nierazko ulegają spiętrzeniu, wzmacniając poetyckość zapisu („w aorcie marzeń świt”, „ręce jak kamienie tańczą na krawędzi snu”, „sny martwe w kokonie ślepych łez”, „wodosпад rozbitych chwil”, „obłoki gniewu wieszczą lzy”, „lejący na niebie list nie uniesie żalu”, „na beztroskim niebie szybuje rozdarty ptak ciszy”). Do tego dochodzą metaforyczne porównania („delikatne jak niebo”, „słowa jak dźwięki ukryte w spojrzaniach”, „głos jak burza owinięty w bawełnę” itp.). Okazuje się, że Krzyśka uwielbia rozbudowane wyrażenia oksymoroniczne, np. „zgiełk milczących ust”, „widzisz z dwóch trzeciej”, „nic nie mówiąc równie wiele”, „czerpanie wody z wyschniętej studni”, „noc jasna i dzień okryty ciemnością”, „słowa które wychodzą przez zamknięte usta”. Może jeszcze bardziej ceni wszelkie niedookreślenia, z których kreuje oniryczną aurę wielu wierszy. Wobec tego, czyż TAKĄ poezję można zasadnie nazwać ascetyczną?

Wydaje się, że autor gorliwie praktykuje sztukę poetycką ściśle według hasła J. Przybosa *Najmniej słów*. Fakt, na ogół jego liryki są krótkie, celne, treściwe. Jednak daleko mu, pod tym względem, do lapidarności Mirona Białoszewskiego (faza przypływu), do niedoścignionego mistrza lakonizmu Tadeusza Liry-Sławy czy choćby do werbalnego minimalizmu Zbigniewa Tłalki. Jasne, że autor zbiorku *Zabrane ciszy* (2023) raczej NIE ZAMIERZA konkurować z ww. poetami, bo i po co? Sławomir Krzyśka, matematyk-poeta, niewątpliwie jest sobą, oprócz świata liczb kocha sztukę słowa, oksymoroniczne formuły i wyszukane paradoxy, z których buduje oszczędne, ale wieloznaczne, nowoczesne konstrukcje artystyczne. Po mistrzowsku, z matematyczną precyzją, mnoży niedookreślenia sensów, potęgując ich deskryptywny i ekspresywny potencjał. I taka pointa-wyzwanie: „Weź czytaj/ szukaj odpowiedzi” (s. 65). ♦

*Sławomir Krzyśka Czerwona biel, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2024, ss. 99.*



## Prosimy pisarzy o ich książki!

Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby **podarować książki Klubom Polskiej Książki**, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie. KPK szczególnie interesują się literaturą współczesną, skupiając jej gorliwych czytelników.

- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Wacław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krosnice, woj. dolnośląskie, tel. (071) 3845551
- KPK-Podbrodzie, Pabrade Internatienia Mokykla, 4710 Pabrades, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK – Landwarów, Henriko Senkevičiaus Vidussmokykla, 4200 Lentvaris, Lauko gatve 20, tel. 828218905, Litwa-Lietuva
- KPK-Wielony, Felicija-Leszczynska, LV 4550 Vilani, Rezeknes rajon, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Lotwa – Latvija
- KPK – Malta, Jadviga Okuniewicz, LV 4630 Malta, Rezeknes rajon, Javnatnes iela 11, tel. 003714641921, Lotwa – Latvija
- KPK – Rzezyca, Rezeknes Polu Vidusskola, Lubanas iela 49, LV 4600 Rezekne, tel. 003714023552, Lotwa – Latvija
- KPK, Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci i Młodzieży Słabowidzącej i Niewidomej im. Louisa Braille’a, 85-008 Bydgoszcz, ul. Krasnińskiego 10, tel. (052) 322 17 87
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnowa” 85-806 Bydgoszcz-Kapusińska, ul. Planu 6-letniego 38, tel. (052) 3631867, drugi czwartek godz. 17.00
- KPK, Zespół Szkół im. Langego, 78-425 Biady Bór, ul. Brzeźnicka 10, woj. zachodniopomorskie, tel. (094) 3739019, (094) 3739757, 0696469781
- KPK, Żyrardowskie Wieczory Literackie MDK, 96-300 Żyrardów, Pl. Jana Pawła II/3, każdy poniedziałek (z wyjątkiem świąt) godz. 16.00
- KPK, Zespół Szkół Chemicznych i XIV LO, ul. Łukasiewicza 3, 85-821 Bydgoszcz, tel. (052) 3611008
- KPK-Lubostroń, Zespół Pałacowo-Parkowy, pow. Żnin, gm. 89-210 Łabiszyn, tel. (052) 52384623, 0605097743
- KPK-Szkola Podstawowa nr 38, 85-858 Bydgoszcz, ul. Węgierska 11, tel. (052) 3621060
- KPK 89-530 Śliwice, Ewa Zarzka tel. (052) 3368331, 0511866335, Śliwiczki 62
- KPK Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 2 85-791 Bydgoszcz, ul. Akademicka 3
- KPK Pensjonat „Salamandra” 84-104 Jastrzębia Góra, ul. Nasza 2, woj. pomorskie
- KPK Siergiej Fimow 24 7760 Mozyrz ul. Pierszamajskaja 18/46, Białoruś
- KPK Witalis Myszona 24 7841 Lelezycze ul. Ostronskiego 31A, Białoruś
- KPK, Zespół Szkół Fryzjerskich 85-209 Bydgoszcz, ul. Naklińska 11
- KPK, Zespół Szkół Spożywczych 85-844 Bydgoszcz, ul. Toruńska 174
- KPK, Okręgowy Klub Aktywności Twórczej PZN 85-090 Bydgoszcz ul. Powstańców Wielkopolskich 33
- KPK, Gimnazjum Kolumba Bydgoszcz ul. Świętej Trójcy 9
- KPK, 88-190 Barcin ul. Dworcowa 10 Restauracja „Luizjana”
- KPK – Birmingham Polish Millennium House Bordesley Street, B5 5 PH Birmingham England tel. +44 121 64 33 577
- KPK Klubokawiarnia, 89-421 Sośno, ul. Młyńska 1 tel. 787525190, e-mail: jus.ryc@wp.pl Prowadzący: Justyna Rychlik

## Knajpiany Kraków

W pierwszej dekadzie XXI wieku w Krakowie zaczęły być organizowane spotkania poetyckie w knajpach i nie chodziło o wieczorki znanych poetów, ale spotkania dla początkujących. Często połączone były z koncertami muzycznymi, na których występowały zespoły rockowe, metalowe, czy hiphopowe. Były te spotkania następstwem propagowania poezji słamowej przez krakowski „Ha!art”, gdzie promowano prostotę, rymy, problematykę społeczną i ostre komentarze. Nie znałem dobrze tych kręgów, ale chyba, w którymś momencie środowisko knajpianej literatury podzieliło się na obóz performerów i zwyczajnych poetów. Takie spotkania poetyckie dla początkujących prowadzone były w ramach cyklicznych spotkań „Kulturkampf”, „Poezje i herezje”, ale także w Kawiarni Artystycznej.

Musiałem wspomnieć o zjawisku poezji knajpianej, gdyż niedawno dostałem z wymiany tomik **MICHAŁA KILLIŃSKIEGO** *Literatura brzydka*, który ukazał się w 2018 nakładem krakowskiego wydawnictwa *Santa Muerte* (wznowiono go w 2023 roku), a autor urodzony w 1987 roku związany był z poezją knajpianą od wielu lat, ba, sam współprowadził spotkania „Poezje i herezje”. Nigdy jednak nie spotkałem się z jego poezją w żadnym periodyku.

W *Literaturze brzydkiej* nie było nadziei, humoru, zwykłej próby ogarnięcia codziennego życia; za to dominował nastrój beznadziei, bylejakości, niespełnienia, choć trzeba przyznać, że Killiński nie pisał jak wielu poetów w ostatnich latach w stylistyce peerelowskich kaskaderów literackich, nie słycać było wpływu na jego wiersze ani Rafała Wojaczka, ani innych poetów z tego kręgu.

W wierszach Killińskiego przeczytać można było o gnijącym jedzeniu w lodówce, myślach samobójczych, zarażeniu paciorkowcem, zaliczanych kobietach, wymiotach, samookaleczeniu, nieznośnych tęsknotach i rozłąkach, pojawiały się w nich odniesienia do jazzu i rocka, ale także napomknienia o niesnaskach z własnym ojcem, ciągłym

błądzeniu w świecie nie mając poczucia celowości istnienia, snach o lepszym życiu, czy nawet ironicznie o kanibalizmie, niechęci do świąt państwowych.

W wierszu „Pani K.” znalazł się ciekawy opis rytualnego, religijnego aktu klęczenia niepopartego wiarą, ale robionego na wszelki wypadek: „Nie wierzy ale prosi a nuż/a nóż tak na wszelki wypadek” („Pani K.”). W wierszu kobieta od klęczenia zrobiła sobie odciski, ale także zraniła się od gwoźdźcia, co mogło być przypadkiem, ale także symbolem. Nie spotkałem się jeszcze w polskiej poezji współczesnej z takim przypadkiem, by ktoś opisał religijne czynności wykonywane bez większego przekonania. Kiedyś to raczej oficjalny świat PRL-u był ukazywany jako taki na niby, np. w pewnej powieści Janusza Andermana z lat 80-tych opisywano ludzi w pochodzie pierwszomajowym, którzy nie demonstrowali swojego przywiązania do idei komunistycznych, ale przez udział w nim dbali o awanse w pracy, wczasy albo nie chcieli się narazić na nieprzyjemności ze strony dyrekcji w zakładzie pracy.

Mimo, że Killiński nie inspirował się zbyt dalekimi awangardami ani symbolizmem, niektóre jego wiersze były zbudowane z różnych fraz na granicy komunikowalności i nie za bardzo wiadomo o co w nich chodziło poza tym, że były mroczne. Np. w „Poduszkach” pojawiło się zastanowienie nad własnym istnieniem. Potem informacje, że pod jezdnią płynęła „martwa rzeka”, a latarnie „świeciły pustkami”. Mogło to być wyrażenie czegoś co działo się w nocy. Jednakże w kolejnych strofach pojawiła się matka, która miała przeprosić, a także oczekiwanie na odcięcie ręki. Wiersz kończył się słowami „Odkąd tu jestem/będę już wszędzie”. Zważywszy na styl poezji Killińskiego w innych wierszach ten jakby zawisł w zbyt wielkim niedomówieniu i poza chwytliwymi frazami, które mogły intrygować, niezbyt wiązały się ze sobą różne strofy. Wiadomo tylko, że wydarzyło się coś niezbyt przyjemnego i bolesnego dla podmiotu lirycznego, ale wiersz jakby opierając się na pseudonimowaniu stanów uczuciowych nie wyjaśniał niczego.

Po tym, co słyszałem na różnych spotkaniach knajpianych byłem zaskoczony na plus zbiorem Killińskiego. Jednak to kilka skojarzeń z poezją Świetlickiego kazało się zastanowić, czy poeta zacierał ślady większej inspiracji jego poezją, czy miał po prostu podobne zainteresowania subkulturowe, muzyczne i temperament. Nie mogłem tego rozstrzygnąć, bo takich wyraźnych śladów nie było zbyt dużo. Poeta nie uciekał w świat literacki sprzed 1989 roku jako ten ważny, co kreowały niektóre środowiska także związane z Krakowem. Wybór Świetlickiego jako patrona swojej poezji mógł być też odczytywany jako przeciwstawienie się różnym opcjom artystycznym uprawianym przez rówieśników – od neolingwizmu, przez żartobliwą poezję konwersacyjną, po poezję zaangażowaną. ❖

Michał Killiński, *Literatura brzydka*, Kraków 2023, Wydawnictwo *Santa Muerte*, ss. 52.

## Żywe drzewo Włodzimierza

W 2024 roku, nakładem Związku Literatów Polskich Oddziału w Gorzowie Wielkopolskim oraz Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Z. Herberta, została wydana książka **HELENY SKONIECZKI** (*ex domo* Dobaczewskiej) pt. *Żywe Drzewo Włodzimierza*. Jest to biografia Włodzimierza Korsaka (1886–1973), polskiego podróżnika, Głównego Łowczego RP oraz łowczego w Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie, fotografa, pisarza, w tym autora kultowego dzieła *Rok myśliwego* (1922).

Co wyróżnia tę biografie od innych? Otóż jest ona pisana z perspektywy członka rodziny Włodzimierza Korsaka, przy której pisaniu autorka korzystała z dzienników samego Włodzimierza oraz jego córki, a zarazem matki autorki, Włodzimierzy Dobaczewskiej (*ex domo* Korsak). Korzystanie z archiwalnych dzienników ułatwia czytelnikowi wniknięcie w świat wewnętrzny bohaterów, umożliwiając czytelnikom z innego pokolenia poznać, z jakimi problemami się oni mierzyli, a tym samym pogłębia nam obraz rodziny Korsaków. Dużą zaletą opracowania są zdjęcia rodzinne, dzięki którym czytelnik może zobaczyć Włodzimierza i jego rodzinę; drzewa genealogiczne, ułatwiające czytelnikowi zrozumienie *who is who* w rodzinie Korsaków oraz wykaz publikacji, pozwalający zaznajomić się z dorobkiem pisarskim bohatera. Pewną wadą książki jest brak zamieszczonych wybranych, prac graficznych Włodzimierza Korsaka, które umożliwiłyby zapoznanie się z jego dorobkiem artystycznym.

Jest to książka skierowana przede wszystkim do ludzi zainteresowanych postacią głównego łowczego z okresu międzywojnia. Autorka ma przyjemny styl pisania (bohatera swej prozy nazywa *Dziadziusiem*) i dba o przejrzystość tekstu. Trzeci się, aby czytelnik jej prac nie czuł się „zagubiony” w natłoku przytaczanych nazwisk.

Pomocą biograficzną jest – oprócz drzewa genealogicznego – kalendarium działalności bohatera opracowania oraz losów jego spuścizny. Najwięcej dla jej utrwalenia uczynił Gorzów Wielkopolski, gdzie odsłonięto tablice pamiątkowe, a trzem szkołom w subregionie gorzowskim nadano imię przyrodnika.

Nazwisko jego jest w nazwie jednej z głównych ulic, istnieje izba pamięci w Gorzowie Wielkopolskim, w Zielonej Górze oraz w Kłodawie („Kossakówka”). ❖

Helena Dobaczewska-Skonieczka, *Żywe drzewo Włodzimierza*, Gorzów Wielkopolski 2024, ZLP, ss. 84

### Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018–2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także – co jest ważne dla literaturoznawców – spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.

Cena wraz z przesyłką: 35 zł  
Nr konta: 03124011831111001002291025

**Droloff**  
Przewozy krajowe i zagraniczne

Przewozy krajowe i zagraniczne

- przewozy krajowe i zagraniczne
- wyjazdy turystyczne
- zorganizowane wyjazdy narciarskie
- przewozy pielgrzymów
- obsługa zawodów sportowych
- obsługa wyjazdów służbowych
- obsługa wyjazdów rekreacyjnych

ul. Broniewskiego 38/12, 87-100 Toruń  
tel. 56 686 05 05, 604 282 235  
www.droloff.com.pl

Stanisław Chyczyński

## Kolejna wielka księga Wierciochów

Małżeństwo literatów z Krakowa, **JO-LANTA SZYMSKA-WIERCIOCH** i **WOJCIECH WIERCIOCH**, to – pośród redaktorów antologii – świetni profesjonalści, czyli starzy wyjadacze, że użyję tak prostackiego określenia. Wydali drukiem już parę opasłych książek, wspólnie zredagowanych, np. *Księgę anegdot polskich* (2007), *Anegdoty z czterech stron świata* (2020), *Polskę w anegdotach* (2021). Razem napisali też powieść biograficzną o sławnym prof. Antonim Kępińskim *Psychiatra i demony* (2019) oraz potężne, fabularyzowane dzieło o Mikołaju Koperniku (tzw. Księgi Mikołajowe, 2021-22, dwa tomy, łącznie ponad 1500 ss.).

Dzisiaj biorę na warsztat krytyczny ich najnowsze dzieło pt. *Rozum i komizm. Cytaty, aforyzmy i paradoksy z XX i XXI wieku* (Kraków 2024). Na okładce widnieją ponadto dwa sugestywne dopiski: „Poradnik dobrego życia” i „Rozrywka tylko dla myślących”, więc pierwszy to chwyt reklamowy, drugi to swoiste ostrzeżenie albo i zachęta. Jak zwykle u Wierciochów, księga (ponad 620 stron formatu B5) została wyposażona w erudycyjne *Wprowadzenie*, a także pomysłów *Wyprowadzenie*, jak również (ekstraordinaryjnie) w 3 indeksy: hasel, nazwisk wzmiankowanych, autorów. Zatem, troskliwie zadbano o wszelkie ułatwienia dla niecierpliwych szperaczy.

Omawiana publikacja niewątpliwie jest kontynuacją równie obszernej antologii pt. *Dowcip i mądrość. Cytaty, paradoksy i aforyzmy od starożytności do XIX wieku* (2022), którą redaktorski tandem opracował kilka lat wcześniej. I trzeba podkreślić, że tom *Rozum i komizm* jest efektem tytanicznej pracy kompilacyjnej, skoro mieści złote myśli i inne wyimki z przeróżnych dzieł ponad 800 autorów. Są wśród nich b. sławne osoby: artyści, aktorzy, reżyserzy, muzycy, pisarze, filozofowie, naukowcy, politycy, nobliści *etc.* (np. W. Churchill, C.G. Jung, P. Picasso, C. Chanel, J.L. Borges, L. Armstrong, S. Dali, S. Beckett, M. Eliade,

E. Piaf, K. Wojtyła, M. Thatcher, J.F. Kennedy, G.G. Marquez, B. Dylan, Dalajlama XIV, M. Monroe czy R. Polański). Są też figury mniejszego kalibru, dajmy na to: Z. Kossak, R. Ingarden, T. Kotarbiński, W. Tatarkiewicz, K. Iłakowiczówna, S. Wróblewski, A. Osiecka, A. Dymna, Z. Beksiński, M. Gretkowska. Szczególnym walorem – przynajmniej dla mnie – jest niespodziewana obecność autorów mało znanych lub wręcz nieznanymi. Z dużą radością spotkałem swoich znajomych literatów, czyli: Emila Biele, Jacka Durskiego, Eligiusza Dymowskiego, Elżbietę Grabosz, Zbycha Jerzynę, Leszka Kozika, Wojtkę Kudybę, Herberta Oleschkę, Jolkę Szyską-Wiercioch, Macieja Urbanowskiego, Jerzego M. Wąsika czy Wojtkę Wenclę. (Przy czym nie wymieniam J. Barana, E. Brylla, L.M. Jakóba, J.M. Rymkiewicza czy W. Wierciocha, bo ich udział uważam za oczywisty). Rzecz jasna, wyróżniam tylko znajomków, więc uprawiam prywatę, ale każdy czytelnik będzie mógł TAK zrobić na własną rękę, bo na tym właśnie polega jeden z uroków tej wyjątkowej książki.

*Rozum i komizm* – to tytuł dość intrygujący, ale typowy dla wspólnych przedsięwzięć Wierciochów i odpowiednio (*celnie a dowcipnie*) uzasadniony we wspomnianym wprowadzeniu. Autor powieści *Iluzjonista* wyklada swoje racje wprost: „Aforyzmy są idealnym przykładem, by pokazać, że zjawiska AHA i CHA-CHA są pokrewne. Zjawisko AHA to nagły błysk intelektu, błyskawiczne i błyskotliwe rozwiązanie pewnego problemu (na przykład naukowego), które pociąga za sobą przypływ energii oraz radość z sukcesu. Natomiast zjawisko CHA-CHA pojawia się w wyniku zrozumienia dowcipu, anegdoty, frazki, aforyzmu; komizm jest w tym wypadku na pierwszym miejscu, śmiech i radość stanowią jego objawy, przy czym w tle występuje także jakiś problem, już nie *stricte* naukowy, ale raczej egzystencjalny, gdyż utwory

tego typu to nie sztuka dla sztuki i pusty śmiech dla płytkiej zabawy, tylko również uchwycenie jakiegoś wesołego aspektu rzeczywistości” (s. 15). Natomiast *Wyprowadzenie* to inaczej posłowie, w którym małżeństwo tłumaczy się przed potencjalnym krytykiem z takiego, a nie innego oblicza całości, więc ze swego wyboru maksym, aforyzmów i ciut większych fragmentów – różnej proveniencji. Czytamy tam m.in.: „Głównymi kryteriami doboru cytatów były dla nas: błyskotliwość zdań, głębia i humor spostrzeżeń, nie zaś popularność autora, poczytność bestsellerów czy przychylność w oczach krytyków bądź kretynokrytyków. (...) Można by o tej antologii rzec, że to swego rodzaju najnowsza historia ludzkiej myśli w cytatach, ułożona poniekąd w porządku czasu. Unikatowy dziennik ludzkości, w którym zawarto człowieka «kłopot z istnieniem» czy człowieka «kłopot z wartościami»” (s. 547). Redaktorzy optymistycznie zakładają więc, że ta księga pomoże odbiorcom dokonywać mądrych wyborów, unikać głupich błędów i fałszywych kroków, wreszcie pomoże zmienić swą postawę wobec siebie i innych, czyli umożliwi pojętym osiągnięcie głównego celu: wartościowego i szczęśliwego życia.

W tym globalnym gąszczu rozbieżnych impresji i spostrzeżeń, wyznań i wynurzeń, myśli i przemysleń znajdziemy lokucje o różnym ciężarze intelektualnym i artystycznym, nawet w zestawie tekstów jednego autora. Oto, przykładowo, nasza poczytna noblistka banalnie notuje: „Pisanie jest dla mnie stanem nieustannej uwagi” (s. 477). (A czy na serio może być inaczej?...). Ale też stać ją na klasyczny aforyzm: „Ci, którzy zbyt intensywnie żyją, nie piszą. Ci, którzy zbyt intensywnie piszą, nie żyją” (*ibidem*). Z kolei Wiercioch, jako mistrz wykuwania złotych myśli, preferuje raczej nieklasyczne sentencje, czyli fragmenty wybranych całości, większe *passusy* na jakiś temat, co łatwo zauważyć. Rzucają się w oczy również dysproporcje w prezentacji dorobku wybrańców. Na przykład Jakub Werbiński i Lech M. Jakób (mający na koncie sporo myślowego „kruszcza”) będą zawiedzeni swoim śladowym udziałem. Dla przeciwwagi Piotr Bies, Maciej Kudasik i Antonina Sebesta powinni się ucieszyć, acz każdy z innego powodu. Jednak w świetle rozważań z przedślowia i posłowia, poważnego zarzutu ukroczyć z tego nie sposób. Ponderabilia, które imponują najbardziej, to ogromna przestrzeń uważnych lektur, którą duet redaktorski musiał przebyć w celu stworzenia tak wieloosobowej krainy refleksji i rekomendacji.

*Rozum i komizm* – uwielbiam takie *wyposażone* księgi z cudzymi mądrościami i obcymi maksymami, dzieła, które można swobodnie wertować wte i wewte, w przód i w tył, w górę lub w dół, poszukując inspiracji bądź dobrej rady. A jeżeli ponadto są elegancko wydane (twarda oprawa, szycie, przyjazna dla oka czcionka), to kupuję je na wspaniałe prezenty dla przyjaciół i kolegów, którzy będą godni i gotowi skorzystać z immanentnych dobrodziejstw takiego podarunku. ♦

Jolanta Szyska-Wiercioch, Wojciech Wiercioch, *Rozum i komizm. Cytaty, aforyzmy i paradoksy z XX i XXI wieku*, Wydawnictwo SALWATOR, Kraków 2024, ss. 626



Ośrodek Szkolenia Kierowców

AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ♦ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ♦ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ♦ Pracownia psychologiczna

Biuro czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00

piątek 8:00 - 16:00;

sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32

tel. 052 342 34 96

tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A<sub>1</sub>, B, B<sub>1</sub>, C, D, T,

E do B, E do C

Laura Alszer ● Jolanta Baziak ● Sławomir Bączkowski ● Radosław Bicz  
 Grzegorz Borowiec ● Piotr Chruściel ● Stanisław Chyczyński ● Dorota Czerwińska  
 Robert Drobysz ● Dariusz Filinger ● Szymon Florczyk ● Jakub Fornagiel  
 Krzysztof Gołębiewski ● Antoni Górski ● Jacek Jaszczak ● Michał Kaczmarek  
 Dawid Kalinowski ● Jacek Kasprzycki ● Natalia Kazirod ● Ewa Kłobuch ● Julia Kłoda  
 Krzysztof T.Konecki ● Bartosz Konopnicki ● Barbara Kwiatanowska ● Grzegorz Legawski  
 Celina Lesiewicz ● Dominika Liszkiewicz ● Jakub Krzysztof Łukaszewski  
 Barbara Gruszecka-Małek ● Christian M. Manteuffel ● Wiesław Marcysiak  
 Adam Michalak ● Anna Maria Mickiewicz ● Dawid Nawrocki ● Wanda Nowik-Pala  
 Stefan Pastuszewski ● Michał Piechutowski ● Marek S.Podborski ● Maksymilian Podstawski  
 Antonina Sebesta ● Lucyna Siemińska ● Wioleta Szarwas ● Dorota Szawdzianiec  
 Piotr Szczepański ● Stanisław Szpiller ● Katarzyna Ślusarek ● Wojciech Trzciniński  
 Mateusz Wabik ● Paweł Wacek ● Juliusz Wątroba ● Joanna Wicherkiewicz  
 Tadeusz Zawadowski ● Jakub Ząbkiewicz ● Henryka Ziaja  
 Grzegorz Zientecki ● Stefan Michał Żarów

## „Akant” prosi o pomoc, 1,5% podatku

Dewolucja prasy konwencjonalnej zwanej papierową sprawia, że byt „Akantu” został zagrożony. A przecież czasopismo konwencjonalne jest trwałym dokumentem literackim i dobrze o tym wiedzą twórcy publikujący w Internecie. Proszą nas, często bardzo gorąco i – jak to w życiu literackim bywa – nierzadko, natarczywie, o druk. A my prosimy o pomoc w formie choćby drobnych dotacji, bo inaczej nie przetrwamy. Solidarność literacka, ale też obopólny interes. I odpowiedzialność za dalszy byt polskiej literatury.

Od dwóch lat prosimy o przekazanie na nasze konto 1,5% podatku. W ubiegłym roku solidarność literacka przyniosła z tej akcji sumę, która pomogła pokryć koszty wydania jednego numeru „Akantu”. Mamy nadzieję, że w tym roku pomożecie nam, Przyjaciele, wydrukować dwa całe numery, a jak wicie – jest ich w ciągu roku trzynaście. „Akant” jest jedynym miesięcznikiem na świecie, który wychodzi trzynaście razy w roku.

Przekazujemy więc dane konta na podatek 1,5%, z którego korzysta Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych, będące wydawcą „Akantu”.

**Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych, ul. Dworcowa 62/1, 85-010 Bydgoszcz,**  
 e-mail: [akant24@wp.pl](mailto:akant24@wp.pl), tel. 52 321-33-71

**Przeład 1,5 % podatku: KRS 0000 215 720, Cel szczegółowy; AKANT**

## Fundatorzy Akantu

Paweł Banach	Paweł Kuszczyński
Wojciech Bieluń	Krzysztof Konecki
Andrzej Bogucki	Zbigniew Kwiecieński
Anna Budzińska-Cicha	Piotr Łączyński
Maria Magdalena Człapińska	Tomasz Mickiewicz
Ewa Dachtera	Maria Nowakowska
Tadeusz Dejnecki	Jerzy Nowotczyński
Zygmunt Dekiert	Jan Organ
Piotr Dmochowski	Barbara Orlikowska
Leszek Droszcz	Teresa i Bronisław Pastuszewscy
Jakub Stanisław Domoradzki	Grzegorz Pełczyński
Mateusz Dworek	Zofia Ratajczak
Andrzej Gierch	Roman Rzucidło
Jerzy Cyryl Grupiński	Andrzej Sepioł
Krzysztof Gołębiewski	Marek Stomiak
Eleonora Górka	Janina Sokołowska
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Jerzy Stasiewicz
Ryszard Jacek Juszczyk	Krzysztof Stepień
Wojciech Karpiński	Marek Szulakiewicz
Piotr Bartosz Konopnicki	Elżbieta Vetter
Olga Lalić-Krowicka	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Henryk Kusek	Joanna Zientecka

Instytut Wydawniczy  
 „Świadectwo”

oferuje usługi edytorskie

w zakresie:

- redagowanie,
- korekta,
- opracowanie graficzne,
- skład komputerowy,
- druk

książek oraz innych tekstów literackich, publicystycznych, naukowych i urzędowych.

[www.akant.org](http://www.akant.org)



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna  
 Stefan Pastuszewski – sekretarz redakcji  
 Roman Sidorkiewicz – redaktor  
 Marek S. Podborski – redaktor działu poezji  
 Juliusz Rafeld – kierownik działu imprez  
 Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny  
 Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego  
 Sławomir Krzyśka – redaktor  
 Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1  
 85-010 Bydgoszcz, tel./fax 052/321 33 71  
 ✉ e-mail: [akant24@wp.pl](mailto:akant24@wp.pl)  
[www.akant.org](http://www.akant.org)

Konto:  
 Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych  
 Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz  
 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025  
 Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77  
 85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

**RADA REDAKCYJNA:**

Rafał Berger, Marek Pietrzak - przewodniczący,  
 Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.

